Stron 8 W ŚWIECKIM KONFESJONALE. - MIŁOŚĆ ELIASZA HRYNIUKA Cena 1 sh

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - KULTURALNY

Rok IV. Londyn, niedziela 30 lipca 1950 Nr. 31 (162)

MARIA STRZAŁKOWSKA

KONGRES WOLNOŚCI KULTURY

— JAKĄ wizją żyje obecnie wasza młodzież? — zapytałam młodą redaktorkę poczytnego niemieckiego tygodnika Zony Brytyjskiej.

— Wizją Zjednoczonej Europy, odparła bez wahania. — Wszystko co do tego dąży, może liczyć na poparcie najlepszych i najrozsądniejszych spośród nas. Gdyby tylko nie przegadano wartości tej idei na wszystkich zjazdach i kongresach...

—Czy niemiecka opinia publiczna piętnuje kolaboracjonizm z władzami okupacyjnymi?

— Nie sądzę, odparła po chwili namysłu, aby ten termin w tym znaczeniu, które mu nadano w krajach okupowanych przez hitleryzm, mógł być zastosowany w Niemczech Zachodnich. Różne tarcia i żale giną wobec wschodniego zagrożenia. Zwłaszcza Berlin zdaje sobie dokładnie sprawę z tych konieczności.

Mamy do wyboru jedność albo wolność; około 80% wybrało wolność, czyli współpracę z demokracjami zachodnimi...

(Cytuję słowa tej doświadczonej dziennikarki, na jej odpowiedzialność.)

* * *

Kongres Wolności Kultury,*) zorganizowany przez redaktora niemiecko - amerykańskiego miesięcznika „Der Monat", Melvina J. Laskyego, miał na celu rozważenie i naświetlenie zagadnienia wolności i kultury w różnych postaciach. Czterodniowe obrady były poświęcone następującym tematom:

Nauka a reżimy totalitarne.

Sztuka i artyści a wolność.

Obywatel w wolnym społeczeństwie.

Obrona pokoju i wolności.

Ostatnie publiczne zebranie odbyło się pod hasłem: Wolna Kultura w Wolnym Świecie. Niewypadkowo został obrany za siedzibę Kongresu Berlin stanowiący wyspę w zonie sowieckiej i jak określają Niemcy, stojący nad przepaścią.

Do Międzynarodowego Komitetu zostały powołane największe nazwiska spośród filozofów, polityków, pisarzy i artystów całego świata. Honorowe prezydium Kongresu przyjęło pięciu filozofów: Benedetto Croce (Italia), John Dewey (USA), Karl Jaspers (Niemcy), Jacques Maritain (Francja) i Bertrand Russel (Anglia).

Zaproszeni uczestnicy zjechali się w liczbie około stu. Przedstawiciele krajów zza Żelaznej Kurtyny byli też reprezentowani, chociaż nielicznie. Z Polaków zaproszono Józefa Czapskiego, autora „Na Nieludzkiej Ziemi", oraz Jerzego Giedroycia, redaktora paryskiej „Kultury".

Z delegatów amerykańskich wyróżniał się Sidney Hook, profesor Uniwersytetu Columbia i James Burnham, autor kilku głośnych książek ,jak „Walka o świat" (The Struggle of the World) i ostatniej nietłumaczonej jeszcze: „The Coming Defeat of Communism".

Z Włochów — znakomity powieściopisarz Ignazio Silone, autor „Fontamary", jeden z leaderów włoskiego socjalizmu. Artur Koestler, naturalizowany Anglik z pochodzenia pół Węgier, pół Żyd, autor tłumaczonej na wszystkie języki książki „Ciemność w Południe" (Darkness at Noon), „Krucjaty bez Krzyża" i kilku innych okazał się ponadto świetnym mówcą.

David Rousset, były więzień Buchenwaldu, organizator akcji zwalczającej obozy koncentracyjne, występował obok Margarety Buber-Neumann, najbardziej znaczącego świadka na procesie Krawczenki, której danem było przeżyć obozy zarówno sowieckie jak hitlerowskie. Zauważmy, że wymienieni powyżej pisarze, wszyscy byli komuniści, są dziś najbardziej aktywnymi przeciwnikami stalinizmu.

Z licznej delegacji angielskiej, wyróżniał się świetny mówca polityczny, młody poseł konserwatywny, popierający żarliwie akcję mającą na celu zjednoczenie Europy.

W delegacji francuskiej, obok powieściopisarza Jules Romains, redaktora „Le Monde" Rémy Roure, ekonomisty André Philip (poseł socjalistyczny) zabrakło niestety znakomitego pisarza politycznego Raymonda Aron i filozofa katolickiego Gabriela Marcel, zatrzymanych w ostatniej chwili nieprzewidzianymi wypadkami, a także ciężko chorego André Malraux.

Murzynów reprezentował George Schuyler, świetny publicysta amerykański, Indusów Kasha Malik. Rosjan: pisarz Boris Nikołajewskij, muzyk Mikołaj Nabokow i kilku innych.

Kongres otworzył naczelny burmistrz Berlina Ernest Reuter, w towarzystwie rektora Wolnego Uniwersytetu Berlińskiego prof. Edwina Radslob i dra Ottona Suhr, kierownika wyższej szkoły Nauk Politycznych w Berlinie. Poczem delegaci różnych narodów wygłosili krótkie powitalne przemówienia. Czapski przemówił po polsku, powtarzając następnie swoje przemówienie po niemiecku. Ubolewał, że obok przyjaciół z Łotwy, Czech i Rosji nie widzi przedstawicieli Rumunii, Węgier, Ukrainy, Białorusi i in., wyraził też nadzieję, że następny Kongres poprawi te zaniedbania. „Głosić wolność połowy Europy, wówczas gdy druga jest stotalizowana i zdławiona — oświadczył, to fikcja. Wyrażę chyba przekonanie wszystkich uczestników Kongresu stwierdzając, że nie wystarcza jedność w walce o kulturę Europy ,ale , że należy też walczyć o jedność przyszłej wolnej Europy".

Koestler postawił zaraz na otwarciu zagadnienie, które się stało do ostatniego dnia niejako osią dyskusji.

„Są chwile — mówił Koestler — gdzie dążenie do syntezy i szukanie kompromisów jest niedopuszczalną postawą wobec narastającej grozy wypadków. Tego rodzaju mądrzy szaleńcy zalecają neutralność wobec grożącej całemu światu dżumy... "Niechaj mowa wasza będzie prosta: tak — tak, nie — nie, (zacytował Koestler słowa z Ewangelii św. Mateusza), a co więcej jest, od złego jest."

Niektórzy uczestnicy zwłaszcza Amerykanie ,jak Sidney Hook i James Burnham poparli wyraźnie antysowiecką postawę Koestlera i jego wrogość wszelkiej neutralności w ewentualnym światowym konflikcie. Jeden z oponentów zarzucił Koestlerowi, że ten cytat ewangeliczny ,to prawie „pistolet w kieszeni", niemniej ogromna większość uczestników wypowiedziała się za stanowiskiem zbliżonym do Koestlera.

Silone grupował koło siebie delegatów akcentujących przede wszystkim ducha absolutnej tolerancji, którzy w wystąpieniach Koestlera i jemu podobnych upatrywali niebezpieczne przewroty t. zw. „konwertytów", tych mianowicie, którzy z namiętnością rzucają na stos wczorajsze swoje bóstwa. Ostatniego dnia Koestler zaskoczył znów wielu i zgorszył niektórych atakiem na współczesny socjalizm i pośrednio na rząd angielskich labourzystów, wobec których konserwatyści wykazują niejednokrotnie więcej zdolności do myślenia kategoriami światowymi. Jeden z najsympatyczniejszych uczestników Kongresu, socjalista, wódz norweskiego podziemia, Haakon Lie, stanął w płomiennej mowie w obronie socjalizmu, popierając swoje twierdzenie wyjątkowymi osiągnięciami socjalizmu skandynawskiego.

Z kilku obecnych na kongresie księży zabrał głos ksiądz baskijski, emigrant, wyjaśniając stanowisko Kościoła katolickiego wobec kultury i wolności. W cyklu referatów *Wolna Kultura w Wolnym Świecie*, wygłosił swój referat Józef Czapski stawiając projekt stworzenia wolnego Uniwersytetu dla młodzieży emigracyjnej i emigrującej z za żelaznej kurtyny, młodzieży wszystkich narodów Wschodniej i Środkowej Europy ,w celu stworzenia tą drogą kadr przyszłego zjednoczonego świata.

Nie mogę wierzyć — oświadczył Czapski — w istotną wolę walki o wolność intelektualną tych pisarzy i artystów, których nie obchodzi przyszłość i którzy patrzą obojętnie na systematyczną likwidację żywych sił połowy całej Europy. Każda bomba atomowa kosztuje więcej, aniżeli by kosztował uniwersytet, mimo że uniwersytet, celowo pomyślany i rozumnie kierowany, byłby niewątpliwe bardziej niebezpieczny dla reżimu sowieckiego, aniżeli groźba bomby atomowej."

Ostatni dzień Kongresu, 30. VI. był poświęcony konferencji prasowej ,zgłaszaniu rezolucji i ukonstytuowaniu stałego Komitetu, którego zadaniem będzie przygotowanie Kongresu na rok 1951.

Jedna z rezolucji zainicjowanych przez polskich przedstawicieli dotyczyła dwujęzycznych szkół dla uchodźców różnych narodowości, którzy po likwidacji IRO pozostają w Niemczech. Rezolucja ta mająca na celu uniknięcie przymusowego wynarodowienia została podpisana, poza Czapskim i Gedroyciem, przez Franciszka Kowarnę (Czechy), R. Lalive d'Epinay (Szwajcaria), Mikołaja Nabokowa (Rosja), Davida Rousset (Francja), Ignazia Silone (Italia) oraz Carmen de Curtubay (Hiszpania).

Stały Komitet Kongresu Wolności Kultury, do którego został też wybrany Józef Czapski, zamierza wyłonić ze siebie dwa sekretariaty, z których jeden będzie urzędował w Berlinie a drugi w Paryżu.

Wybuch konfliktu koreańskiego, który się zbiegł z obradami Kongresu pogłębił wśród uczestników świadomość narastającej grozy. Wypada także nadmienić, że wszyscy członkowie Kongresu, znani ze swego antysowieckiego stanowiska, byli przedmiotem czujnej opieki służby bezpieczeństwa. Każdy z nich miał swego uzbrojonego stróża, który go nie spuszczał z oka — zarządzenie konieczne ze względu na powtarzające się w Berlinie wypadki porywania ludzi wprost z ulicy, po których ginie następnie wszelki ślad, a interwencje nie odnoszą najmniejszego skutku.

Maria Strzałkowska

*) Berlin, w dniach od 26 - 30 czerwca b .r.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

LIST DO MATKI

**Jakimi słowy mam Tobie powiedzieć
dni tych przedziwnych prawdę bosą —
Matko daleka, która jesteś
cicha i srebrna jak Twe włosy?**

**Bo jakież słowo w sobie zmieści
dni tych sierpniowych piękno ciężkie —
radość i rozpacz — ból i pieśni —
wolność i trwanie bohaterskie?**

**Jesteś daleko, lecz Twych rąk modlitwa
od kul zasłoni, od śmierci ocali —
Ty nauczyłaś słowa „wytrwać"
I ono wspiera mnie z oddali.**

**Dzisiaj jest słońce. Matko. Wolność jasną
chłonę, oddycham nią jak powietrzem,
które nad bohaterskim miastem
trwa proste.
Oto jestem sama
wśród kul, wśród rannych, wśród pożarów —
lecz wciąż jedna ożywia mnie wiara,
że mnie, Matko, od śmierci ocalisz...**

— — — — — — — — — —

**Sześć lat temu pisałam tak Matko —
a rozdzielał nas — jeden most na Wiśle —
sześć lat temu z płonącego miasta
serce swoje otwierałam listem — ...**

**Dzisiaj — ile to rozdziela nas mostów —
ile listów, ile łez, ile miast — — — —,
lecz ból tamten sierpniowy nie ostygł,
choć minęło sześć tragicznych lat.**

**I jak wtedy — z płonącego miasta,
tak dziś zza wielkiego oceanu —
wciąż ta sama ożywia mnie wiara,
że mnie, Matko, od złego ocalisz.**

**Sześć lat temu wymodliłaś mi życie.
Wiem to — krzyżem leżałaś u proga —
i wiem także, że o mój powrót
sześć lat, Matko, już wadzisz się z Bogiem.**

**Przeto — Matko — nie będę się smucić —
przyjdzie dzień — gdy przekreślę oceany —
Bo ja wrócę. Ja muszę powrócić
do Ciebie i — do Warszawy.**

WIESŁAW ŻYLIŃSKI

KOŚCIELNA POLITYKA MOSKWY

SOWIECKIEMU podbojowi Europy Środkowo - Wschodniej towarzyszy odrodzenie się w samej Rosji sowieckiej tych haseł i zasad, na których dawna Rosja, Rosja carska, budowała swoją potęgę terytorialną od czasów Iwana Kality i Iwana Groźnego.

Obok zasady „samodzierżawia" (jedynowładztwa) i jednej oraz jednolitej narodowości rosyjskiej (wielkoruskiej) zasada oficjalnego prawosławia, jako posłusznego narzędzia rządu — oto program ustroju Rosji carskiej, który słusznie nazwał polski historyk Jan Kucharzewski w swoim znakomitym dziele o Rosji „Piramidą Niewoli" („Od białego do czerwonego Caratu").

Dzisiejsza Rosja na miejscu samowładnego cara postawiła dyktatora, który ma być „słoneczkiem wszystkich narodów sowieckich". zasadę narodowości rosyjskiej zastąpiła dobrze zorganizowaną, na żelaznej dyscyplinie opartą, partię komunistyczną (z przybudówkami), a dawną zasadę uległej oficjalnej Cerkwi prawosławnej wzmocniła jeszcze narzuceniem tej przeprowadzonej przez piekło dantejskie Cerkwi, równie mocnej dyscypliny i kontroli, jak w partii komunistycznej.

Z chwilą wybuchu wojny niemiecko - sowieckiej Stalin nawiązuje w swoich przemówieniach do przeszłości narodowej rosyjskiej, do bohaterów narodowych z Suworowym i Kutuzowym na czele. Nie kto inny, lecz Stalin ustanowił trzy odznaczenia wojenne, a wśród nich i odznaczenie imienia Św. Aleksandra Newskiego. Wzorem cara Pawła I. zawieszał te odznaczenia w czasie wojny na piersiach i szatach arcybiskupów, kleru i działaczy kościelnych.

Równorzędnie do haseł Stalina odwołał się również Kościół do przeszłości narodowej. Wezwał na pomoc w zwycięstwie „świętych wodzów narodu rosyjskiego" Aleksandra Newskiego i Dymitra Dońskiego. Metropolita Sergiusz w płomiennej odezwie do wiernych pisał: „Nam, pasterzom Kościoła, w chwili niebezpieczeństwa ojczyzny nie przystoi milczkiem tylko obserwować wydarzenia". A jeżeli chytre kombinacje — streszczamy myśl metropolity — na temat możliwych wygód po tamtej stronie granicy dyktują brak zainteresowania u pasterza wydarzeniami, oznacza to zwykłą zdradę ojczyzny. Kościół Chrystusowy błogosławi wszystkich prawosławnych w ich walce o „święte granice naszej ojczyzny".

Już w tych słowach mamy zapowiedź usankcjonowania zaborów terytorialnych Związku Sowieckiego z lat 1939 - 1940. Wyraźniej jeszcze, bo bezpośrednio, prawdę te ujawnił metropolita Mikołaj, zastępca metropolity Sergiusza, gdy dnia 3 sierpnia 1941 roku, w okresie największych klęsk armii czerwonej, mówił w katedralnym soborze w Moskwie podczas uroczystego nabożeństwa: „Nasza ludność prawosławna zachodnich okręgów Ukrainy i Białorusi (chodziło tu o wschodnie województwa Rzeczypospolitej Polskiej — przyp. aut.) powróciła we wrześniu 1939 roku w objęcia Matki - Ojczyzny i Matki-Cerkwi. (...) Parafie, które przeszły dawniej na katolicyzm, z radością religijną powracały do prawosławia. Te dwa lata życia zachodnich okręgów Ukrainy i Białorusi w jedności z sowiecką rodzina narodów były dla wierzących szczęśliwą, spokojną epoką". (...) Tak mówił dostojnik Kościoła będącego na usługach rządu bolszewickiego w cztery dni po zawarciu układu polsko - sowieckiego, anulującego podział terytorium państwowego Polski pomiędzy Niemcami a Związkiem Sowieckim, który odtąd stał się sojusznikiem Polski, W. Brytanii i Francji, walczących od dwóch lat z Niemcami.

Ze ścisłej współpracy Kościoła z państwem sowieckim „odradza się" patriarchat moskiewski w roku 1943 - 44 przez dokonanie wyboru na soborze biskupów metropolity Sergiusza patriarchą Moskwy i Wszechrusi. Sposobem niekanonicznym, bez zwołania ogólno-krajowego Soboru z udziałem biskupów, duchowieństwa i wiernych, został restytuowany patriarchat. Dla zwołania tego Soboru biskupów, jako cienia prawnego sposobu działania, należało w ostatniej chwili zwolnić z więzień i miejsc dalekiego zesłania kilku biskupów, potrzebnych do skompletowania Soboru. Ceremonie kościelne i wyborcze odbyły się w obecności przedstawiciela rządu sowieckiego p. Karpowa, a ten sam rządowo - kościelny ceremoniał został zastosowany podczas następnych wyborów nowego patriarchy Aleksego w roku 1945.

Niezależnie od tego, czy Kościół rosyjski był współczynnikiem rządzenia w Rosji carskiej, czy też był pierwotnie prześladowany, a potem wykorzystywany w państwie sowieckim — zawsze dążeniem tego Kościoła było poddanie swojej władzy, władzy centrum religijnego w Moskwie, innych prawosławnych organizmów kościelnych w różnych państwach i częściach świata.

Ambitne zamierzenia utworzenia „Trzeciego Rzymu", centrum prawosławia dla całego świata w Moskwie, nie opuszczało nigdy w ciągu wieków kierowników tego Kościoła i władców państwa. Zbiegały się w tym zamierzeniu imperialistyczne cele dawnej Rosji i obecnego państwa dyktatury proletariatu.

Rząd sowiecki doszedł niewątpliwie do wniosku, że Kościół prawosławny rosyjski, opanowujący swymi wpływami Kościoły prawosławne innych państw w różnych częściach świata, jest znakomitym narzędziem utrwalania wpływów sowieckich, tworzenia odpowiedniego gruntu na obcym terytorium dla akcji sowieckiej i przygotowania przewrotu ustrojowego na rzecz dyktatury proletariatu, rządzonej z Moskwy, lub wchodzącej z czasem w skład „sowieckiej rodziny narodów". Jest to poszerzona i ostrzejsza w swym wyrazie imperialistycznym idea rosyjska, carska, sprawowania przez Rosję opieki nad chrześcijanami w Turcji i na półwyspie bałkańskim.

V

W polityce sowieckiej w Europie Środkowo - Wschodniej odróżnić należy dwa okresy: okres 1939 -41, kiedy Związek Sowiecki równolegle do Niemiec i w ścisłym z nimi porozumienia realizował swoje cele zaborcze i okres 1944 -48, kiedy po zwyciężeniu Niemiec w narzuconej sobie wojnie, zdecydował prewencyjne zdobycze pierwszego okresu utrwalić na stałe przy Rosji i ponadto sięgnąć po znacznie ambitniejsze zadanie — narzucenia swej hegemonii całej Europie Środkowo-Wschodniej, a częściowo i Zachodniej (Niemcy przede wszystkim, częściowo Francja i Italia) od morza Bałtyckiego po morze Śródziemne i Adriatyckie, z zapewnieniem sobie wylotów komunikacyjnych na Cieśniny Dardanelskie, zatokę Perską i Ocean Indyjski.

W okresie pierwszym — zaboru Ziem Wschodnich Polski, trzech państw Bałtyckich i części Rumunii — Związek Sowiecki reprezentował w dziedzinie kościelnej ten sam program, co i Niemcy. Gdy Niemcy na terenach okupowanych Europy tworzyli ośrodki ruchów kościelnych, poddanych władzy kanonicznej arcybiskupa prawosławnego w Berlinie Serafina Ladde, obwołanego metropolitą prawosławnym Europy Środkowo - Wschodniej — Moskwa narzucała przez metropolitę Sergiusza swą kanoniczną władzę Kościołom prawosławnym w części Polski, na Litwie, Łotwie i w Estonii, Bessarabii i Bukowinie. Ustanowienie urzędu egzarchów patriarchatu moskiewskiego dla tych ziem, usuwanie prawowitych biskupów, nasyłanie nowych, sowieckich, znoszenie niezależności tych Kościołów i podporządkowywanie ich władzy moskiewskiej — oto kolejne poczynania do inkorporacji do Związku Sowieckiego ziem okupowanych włącznie.

Okres okupacji niemieckiej na terenach Związku Sowieckiego wyzwolił ruchy kościelno - narodowe, które wpierw w oparciu o Niemcy, później wbrew Niemcom organizowały swe wyznania, wykazując ostre nastawienie anty-sowieckie (Ukraińcy, Białorusini). Pozostali pod okupacją niemiecką, a nasłani ze Związku Sowieckiego biskupi, przechodzili na stronę niemiecką, lecz przypłacali to przeważnie śmiercią z rąk partyzantów sowieckich. Dziesiątki biskupów prawosławnych i setki duchowieństwa znalazły się w wyniku klęski niemieckiej w strefach okupacyjnych anglo-saskich na terenie Niemiec.

Z chwilą zwycięstwa sowieckiego i reokupacji ziem nie tylko dawniej Zajętych (nabytki z lat 1939 - 40), ale i okupacji połowy Europy wraz z państwami bałkańskimi, Austria i częścią Niemiec — Związek Sowiecki rozwinął przez patriarchat moskiewski gorączkową akcje na całym świecie, gdziekolwiek istnieją ośrodki prawosławne, a nawet i tam, gdzie ich nie ma, jak np. w Wielkiej Brytanii.

Czas już wspomnieć o bilansie polityki kościelnej Moskwy.

Rosja włączyła do patriarchatu moskiewskiego Kościół prawosławny polski za t. zw. Linią Curzona, zręcznie kamuflującą linię Ribbentrop — Mołotow, tak samo, jak Kościoły prawosławne państw Bałtyckich, części Rumunii i części Finlandii (Karelia). Sięgnęła następnie Moskwa po dobra kościelne na Bliskim Wschodzie, gdzie uzyskała od rządu Izraela wielkie i bogate majątki kościelne, dające podstawy finansowe do szerokiej akcji polityczno - religijnej. Upomniała się następnie w patriarchacie ekumenicznym o zdjęcie anatemy z Kościoła prawosławnego w Bułgarii, w celu uzyskania przez niego swobody ruchów... w kierunku przyjaźni i bliższych stosunków kanonicznych z Moskwą. Zagarnęła dla prawosławia Kościoły grecko - katolickie na Rusi Zakarpackiej, a sam kraj przyłączyła do Wielkiej Ukrainy. Ustanowiła następnie „przyjazne stosunki" z patriarchami wschodnimi (Aleksandryjskim, Antiocheńskim i Jerozolimskim), rozpoczęła przyjmowanie pod presją do patriarchatu moskiewskiego „zbłąkanych" pasterzy i owiec emigracyjnych z Paryża, Londynu, Berlina i t. p. z osławionym metropolitą paryskim Eulogiuszem na czele.

Usiłowania rozszerzenia swoich wpływów skierowywała Rosja we wszystkich kierunkach.

Metropolita Leningradu odwiedził Finlandię i zaproponował metropolicie fińskiemu Hermanowi powrót Cerkwi fińskiej do jurysdykcji patriarchatu moskiewskiego.

W styczniu 1946 roku ogłoszono w Pradze ,że Cerkiew prawosławna czechosłowacka (nieliczna, bo 130 tys. wiernych licząca) przeszła z jurysdykcji patriarchy serbskiego do jurysdykcji patriarchy moskiewskiego.

W marcu 1946 roku bawiła w Belgradzie delegacja Cerkwi rosyjskiej i niewątpliwie omawiała jak najbliższą współpracę obu Cerkwi, pod warunkiem uznania prymatu Cerkwi moskiewskiej przez Cerkiew serbską w świecie ortodoksji wschodniej, co też nastąpiło, jak wykazały późniejsze wypadki, bowiem patriarcha serbski Gawryło (Gabriel) stał się zwolennikiem Moskwy. Trzeba to nadmienić, ze patriarcha ten był podczas okupacji niemieckiej w Jugosławii więziony przez Niemców, a zwolniony przez wojska sojusznicze z niewoli w Niemczech, przez czas krótki bawił w Londynie, poczem wrócił do Jugo-

MIECZYSŁAW LISIEWICZ

BAJKA WSCHODNIA

(Wyjątek z większego poematu)

Ostatni z Abbasydów uszedłszy z Bagdadu
Schronił się pod opiekę sułtana Arradu
I nad brzegiem Iblisu dalsze spędzał lata.
Była to zaś kraina piękna i bogata:
Strumienie srebrnych źródeł, cienie cichych gajów
Dawały strudzonemu pierwszy przedsmak raju,
W powietrzu przepojonym zapachem korzeni
Blade kwiaty magnolii rozpraszały cienie
Głowy stulistne kładąc przy stopach cyprysów.
Nocą, nad dolinami, wielki księżyc zwisał
I wsłuchany w dźwięk pieśni płynących z ogrodów
Toczył tarczę miedzianą ku grodom Zachodu.

Gdzie sadzawki łamały w lustrach marmurowych
Zieleń bluszczów i smętek gajów migdałowych,
Pod strażą smukłych kolumn z czarnego kamienia
Dnie spędzał swoje Bahran, ostatni z plemienia.

Patrząc na lilii wodnych soczyste urody
Lśniące śnieżnymi gwiazdy na błękicie wody,
Bahran dumał... Wśród plączy podwodnych korzeni
Pląsały złote smugi przezroczystych cieni.
Wreszcie poranne słońce weszło zza jaśminów.
Zapaliło odrazu na liściach rubiny,
Sypnęło opalami na szmaragdy ziela,
Pociskami gwiazd żywych zdawało się strzelać
I przetrząsać sezamy przez tęczowe sita.

Bahran dumał. Lecz jeśli ktoś by się zapytał
O czym myśli? Nie ująłby swych myśli w mowę.
Były jak strumień szybkie, jak szal kolorowe,
Lśniące, napół z płomienia, napoły z mgieł czystych.
Zjawiały się jak duchy ze sfer przezroczystych.
Przez nie słodycz z goryczą promieniami ciekła,
Nie wielkie ni też małe, ni z nieba — ni z piekła.

Codzień wieczór, gdy zachód spalał się za górą
Podając krwawe usta przezroczystym chmurom,
By w gorącym uścisku, na łożu z płomieni
Płynąć przez Bramy Mroku do Pałacu Cieni,
Bahran z wieżyc zębatych patrzył na grę słońca.
Codzień była jednaka, codzień czarująca,
Codzień inna i codzień duszy smutnej — smutna.
Im bardziej pyszna w barwach — tym bardziej okrutna,
Im piękniejsza, tymbardziej na obczyźnie obca.

Przyjdź, mroczy, ciemną ulgą! Gdy pochodnie kopcą,
Gdy za domem we wichrze jęczy potępieniec
I ciemności dokoła — przychodzi zmęczenie.
Z nim na serce zbolałe, popłatane w ćwierci
Zaczyna spływać senność, cicha siostra śmierci.

Dzwońcie mocniej dzwoneczki! Bębny, mocniej warczcie!
Niech trzaskają jak gromy miedziane półtarcze,
Jeszcze więcej pochodni i brzęków tanecznych,
Bowiem sen nadchodzący, to nie jest sen wieczny.
Zaledwie noc łaskawa ciało w sen zatuli
Już znów zza góry strzela jasność strasznej kuli
I dzień nowy już zgasłe znów zapala życie,
By spopielać je wlokąc zwolna po błękicie.
Żyjesz! zdaje się krzyczeć, nie sięgaj do mieczy
I śmierć nawet od życia niezdolna uleczyć.

Bahranie Abbasydo, wnuku Al Raszyda,
Niech ci życie piołunów do kielicha przyda!
Niech ci ukłucie róży, którą wieńczysz skronie
Jadami strzał zatrutych w krwi i sercu płonie.
Niech wiatr twą ślinę żółcią obficie zaprawia!
Cierpisz? Cierp jeszcze więcej. Cierpienia ustawiaj
Jak różowe kolumny meczetów Bagdadu.
Zasadź je szeregami jak jabłonie sadu
Niech rosną. Niech się mnożą. Niech wydają owoc.
Może kiedyś dojrzeją w jedno tylko słowo,
W jeden jęk, który piersi aż nawskroś przewierca
I okaże bolesnym skokiem twego serca,
Że je masz, także krwawe, bijące pospołu
Z tymi, co są w Bagdadzie, w więzieniach Mongołów...

sławii. Zaraz po powrocie wydał orędzie do wiernych, aprobujące ustrój titowski i sławiące współpracę ze Związkiem Sowieckim. Uprzednio jeszcze, gdy Jugosławia żyła w zgodzie ze Związkiem Sowieckim, rozbito w niej organizację Kościoła katolickiego przez wytoczenie procesu i skazanie arcybiskupa Stepinacza na 16 lat więzienia.

Kościół moskiewski reprezentowany był w Sofii na uroczystościach bułgarskich związanych z tysiącleciem śmierci Iwana z Relii.

Wreszcie nowy rumuński patriarcha Justynian, obrany pod wpływami Moskwy, odbywał częste wizyty do Moskwy i stał się entuzjastą prymatu kościelnego Moskwy nad światem prawosławnym.

Patriarcha Justynian, wzorem patriarchy moskiewskiego Aleksego, wezwał rumuński Kościół Unicki (obrządku bizantyńskiego) do połączenie się z rumuńskim Kościołem prawosławnym. Dwóch kanoników i 36 duchownych unickich zwróciło się do patriarchy o to przyłączenie. Metropolita i czterech biskupów tego Kościoła, zostało aresztowanych i usuniętych, a Kościół unicki w październiku 1948 r. uchwałą synodu prawosławnego przyłączony został do cerkwi rumuńskiej. Kościół unicki w Rumunii itsniał od r. 1697 i liczył ostatnio 1.250.000 wyznawców, miał 700 duchownych i 1700 świątyń, organizacyjnie stanowił metropolię z dwiema diecezjami. Podzielił los Kościoła Grecko - Katolickiego w Polsce.

Bardzo ciekawym i istotnym szczegółem polityki kościelnej Moskwy jest realizowany przez patriarchat moskiewski plan uruchomienia Instytutu Religijnego w Jerozolimie. Profesorami i słuchaczami tego Instytutu mają być orientaliści i adepci nauki orientalistycznej z różnych ośrodków uniwersyteckich w Sowietach. Szereg działaczy arabskich twierdzi, że wszyscy wyznawcy Kościoła ortodoksyjnego zjednoczą się dokoła Związku Sowieckiego i będą współdziałać nim politycznie, jak to czynią już zresztą w zakresie organizacji kościelnej, poddanej kierownictwu patriarchy w Moskwie.

Szczególnym jednak sukcesem polityki kościelnej Moskwy stała się likwidacja Kościoła grecko-katolickiego w anektowanej Polsce Wschodniej. Jak świadczy Encyklika papieska wydana na 350 - lecie istnienia tego Kościoła, był on największym osiągnięciem w jedności kościelnej na przestrzeni wieków. Kościół rosyjski w najbliższej współpracy z władzami sowieckimi zlikwidował tę prowincję kościelną-arcybiskupstwo lwowskie oraz dieceje stanisławowską i przemyską, zmuszając kler i wiernych do przejścia na prawosławie ,opornych zaś biskupów i duchowieństwo osadzając w więzieniu. Dla ścisłości wymieńmy, że greko—katolicka prowincja kościelna we Lwowie i województwach południowych Polski liczyła 3.300.000 wiernych, 2.275 księży, 2.226 parafii.

Rząd sowiecki likwidując ten Kościół osiągnął naraz trzy cele: 1) zniszczył katolicyzm na zagrabionych Polsce ziemiach, 2) wytępił przejawy kultury zachodniej i 3) zlikwidował inteligencję ukraińską oraz stłumił objawy niepodległościowe narodu ukraińskiego.

Na Węgrzech wszczęto głośny na cały świat proces kardynała Mindszenty, skazanego na dożywotnie więzienie, a opozycję katolicką zgnieciono.

W Czechosłowacji prymas arcybiskup Beran jest od dłuższego czasu w areszcie domowym, a na organiźmie kościelnym dokonywane są eksperymenty dywersyjno-polityczne.

Rozbito doszczętnie organizację Kościoła katolickiego w całkowicie katolickiej Litwie, a wielu jej biskupów aresztowano i wraz z częścią duchowieństwa deportowano.

Te sukcesy polityczne patriarchatu moskiewskiego i ekspansja komunizmu sowieckiego w Europie i na świecie, zaniepokoiły patriarchat ekumeniczny, patriarchat konstantynopolitański. Wyrazem tego niepokoju jest wystąpienie oficjalnego organu tego patriarchatu „Ecclesia", który zamieścił artykuł metropolity Chryzostoma p.t. „Dwa główne niebezpieczeństwa". Autor stwierdza, że prawosławny Kościół powszechny ma wrogów nie tylko w Kościele katolickim, lecz dzisiaj również w słowiańskich Kościołach prawosławnych, pozostających pod opieką rosyjskiego patriarchatu moskiewskiego. Patriarchat ten bowiem zmuszony jest wykonywać zlecenia rządu komunistycznego i ulega wpływom doktryn materialistycznych. Metropolita Chryzostom zwraca uwagę, że patriarchat moskiewski usiłuje zdetronizować patriarchat ekumeniczny jako pierwszy w świecie ortodoksji wschodniej. Ten fakt, w połączeniu z wpływami komunistycznymi rządy sowieckiego na Kościół rosyjski, stwarza groźne niebezpieczeństwo dla powszechnego Kościoła prawosławnego i dlatego greckie kościoły prawosławne powinny przeciwstawić się rosyjskiemu i słowiańskim Kościołom, ulegającym presjii komunistycznego rządu sowieckiego. Organ oficjalny patriarchy ekumenicznego wypowiedział się zdecydowanie negatywnie w sprawie inicjatywy patriarchy moskiewskiego odbycia ogólno-kościelnego zjazdu prawosławnego w Moskwie.

W odpowiedzi na wystąpienie oficjalnego organu patriarchatu ekumenicznego organ patriarchatu moskiewskiego „Przegląd moskiewskiego patriarchatu" (No. 12. R. 1947), po streszczeniu wywodów metropolity Chryzostoma, usiłuje dowieść, iż prymat patriarchy ekumenicznego w świecie prawosławnym skończył się z chwilą gdy Bizancjum przestało być stolicą państwa prawosławnego. Zarzucając patriarchatowi ekumenicznemu, że dąży do zagarnięcia pod swą władzę kanoniczną innych Kościołów prawosławnych wbrew zasięgowi swojej władzy prawnej i faktycznej, oficjalny organ patriarchatu moskiewskiego odmawia patriarchatowi ekumenicznemu prawa do tytułu „wszechświatowy", czy "powszechny". Odkąd przestało istnieć prawosławne imperium bizantyńskie przestały też istnieć i te tytuły — pisze we wspomnianym organie prof. S. Troickij. Twierdzi on, że biskupi prawosławni biorą zazwyczaj swoją nazwę od katedralnego miasta swojej prowincji kościelnej. Z chwilą kiedy miasto zmienia swoją nazwę, odpowiednio zmienia swój tytuł jego biskup. Obecnie np. biskupi prawosławni w Związku Sowieckim mają swoje tytuły według nazwy miast katedralnych — leningradzki, stalingradzki, kalininski i t.p. (Co za gryząca i bolesna ironia w samej tytulacji. *przyp. aut.)* Od roku 1923 Konstantynopol już nie egzystuje, istnieje natomiast miasto Stambuł czy Istambuł, a więc patriarcha powinien się nazywać istambulski czy stambulski. Jeżeli patriarcha jest nadal konstantynopolitańskim, i powszechnym to nazwę swoją zawdzięcza nie prawu, a szacunkowi innych Kościołów i tradycji historycznej. W zakończeniu artykułu oficjalny organ patriarchatu moskiewskiego zagroził możliwością mocnego oparcia się na gruncie kanonicznym i koniecznością rozważenia i ustalenia nowej nazwy patriarchatu ekumenicznego.

Już dla ścisłości tylko obrazu sukcesów patriarchatu moskiewskiego w zakresie polityki kościelnej, dyktowanej przez oficjalne czynniki w Moskwie wymienić należy, że w czerwcu 1948 roku Synod rosyjskiej cerkwii prawosławnej pozbawił polski Kościół prawosławny w okrojonej uchwałami jałtańskimi Polsce jego autokefalii (niezależności), uzyskanej w roku 1924 od patriarchatu ekumenicznego i ze swej strony nadał imieniem Cerkwii rosyjskiej tę niezależność polskiemu Kościołowi. Kościół rosyjski zrealizował w tym wypadku swe prawa jako Cerkiew - matka w stosunku do Cerkwi - córki prawa uzurpowane w okresie niewoli politycznej narodu polskiego.

Wiesław Żyliński

W numerze następnym:
Wiesław Żyliński: WNIOSKI

ALEKSANDRA POLESKA

W ŚWIECKIM KONFESJONALE

ANDRE MAUROIS w swej bardzo pro-angielskiej książce, którą napisał po pierwszej wojnie światowej — umieścił następującą anegdotę:

Pewien Anglik, zabiwszy przypadkowo człowieka, ukrył ciało tak zręcznie, że zbrodnia nie wyszła na jaw. Nie przewidział jednak ciężaru samotnego dźwigania sekretu. Bał się zawierzyć rodzinie czy przyjaciołom i wtedy przypomniał sobie, że istnieje tajemnica spowiedzi. Poszedł więc do kościoła anglikańskiego i wywoławszy księdza opowiedział mu swoją tragedię. Pastor wysłuchał go spokojnie, lecz znalazł tylko zimną odpowiedź: „To, co się stało, dyskwalifikuje pana jako dżentelmena. Proszę opuścić mój kościół. Nie jestem pewien, czy nie powinienem zawołać policji". Nieszczęśliwy powlókł się dalej, aż zwabiły go otwarte drzwi katolickiej świątyni. Wszedł i zbliżył się do konfesjonału. Niepewny przyjęcia wyjąkał tylko „Ojcze, zabiłem człowieka". Na to spowiednik zapytał bez cienia zdziwienia: „Ile razy mój synu?".

T. S. Eliot, największy żyjący poeta angielski i autor granej obecnie na West Endzie sztuki „The Cocktail Party" — jest anglo-katolikiem, tj. należy do tego odłamu tutejszego kościoła, który najbliżej stoi naszej religii, nie tylko obrzędowo ale i dogmatycznie. Niektóre z tych kościołów uznają nawet instytucję spowiedzi. Nie wiadomo, jakie są poglądy Eliota na sprawę wyznania grzechów, — ale ostatnia jego sztuka rzuca interesujące światło na problemy z tej dziedziny. Tutaj spowiedź potraktowana jest poetycko, otulona magią białego wiersza, a równocześnie bardzo realistycznie, bo Eliot zajmuje się jej aspektem psychologiczno- lekarskim, wprowadza modny problem rozwiązania kompleksu wewnętrznego przez opowiedzenie o nim drugiej osobie.

Poeta robi bohaterem, spopularyzowaną przez film angielski, a przede wszystkim amerykański, postać nowoczesnego „proroka" — wielkiego lekarza chorób nerwowych, takiego, który w tym kraju musi nosić tytuł i przyjmować obowiązkowo na Harley Street. Ten łagodny starszy pan o głębokim głosie posiąda pacjentów wyłącznie pośród angielskiego „high life'u", i spełnia po części rolę świeckiego spowiednika. Kiedy w drugim akcie przenosimy się do jego gabinetu, — surowe umeblowanie na tle cienkich zasłon robi niemal wrażenie klasztornej celi. Tam, odcięty od świata przez czujnego cerbera-sekretarkę — szuka dla swych pacjentów rozwiązania ich problemów życiowych, koi, pociesza, leczy. Słowem jest mędrcem, który „z pokorą przyjmuje własną nieudolność" i żegna pacjentów słowami naprawdę już konfesjonalnymi „idź w pokoju i pracuj gorliwie na swe zbawienie". W niektórych wypadkach radzi „sanatorium" — dopiero po pewnym czasie można się zorientować ,że pod tą odpychającą nazwą kryje się po prostu... klasztor. Tam wysyła tych, którzy tęsknią do czegoś głębszego, pragną się wyrwać z kręgu rzeczy codziennych. Niektórzy wracają po pewnym czasie, inni, mniej liczni, pozostają w „sanatorium" na zawsze.

Jak wygląda towarzystwo, pośród którego słynny neurolog znalazł się niby przypadkiem na owej cocktail party, która wypełnia I akt? Przede wszystkim jest nieśmiertelna postać sceny angielskiej: starszawa dama o przesadnym głosiku i narzucających się manierach, nieznośna, ale kryjąca pod ekscentrycznym exterieurem zdrowy rozsądek i uczynność dla bliźnich. Postać ta przewinęła się przez wszystkie sztuki od Pinero i Wilde'a do dnia dzisiejszego. Jest też drugi typ równie powszechny — uczynny przyjaciel domu, który zna wszystkich, wszystko może załatwić, do każdego przez niego można trafić — wzamian żąda tylko, aby mógł być potrzebny i by go traktować poważnie. Gospodarzem jest człowiek, który robi gorączkowe wysiłki, aby ukryć, że przed chwilą uciekła od niego żona. Pozatem obecna jest młoda dziewczyna — jego kochanka i inni przyjaciele, którzy doskonale orientują się w sytuacji, ale udają, że wierzą niedorzecznym wykrętom porzuconego męża. Ten początek, lekki, w miarę ostry jak szklanka „gin and it", zręcznie komediowy, nie zapowiada wcale atmosfery dalszego dramatu.

Ale dramat już czai się po kątach konwencjonalnego sitting-roomu. Pierwszy tragiczny akord to wtedy, gdy młoda dziewczyna, Celia, w rozmowie nareszcie sam na sam z kochankiem dowiaduje się z rozpaczą, że wytęskniona wolność zamiast napełnić go radością zmroziła ich stosunek. Nie mylą się ci, co mówią, że jedyny prawdziwy raj — to raj utracony. Dopiero po odejściu żony poznał, że bez niej żyć nie może, że właściwie ją kocha, że wiele z nią ma wspólnego, a żywiołowa miłość Celii jest trochę nużąca i niewygodna. Ta scena, gdzie piękną prozą Eliota starszy pan usiłuje wytłumaczyć młodej kobiecie powody zerwania jest bardzo prawdziwa i wzruszająca.

Oczywiście Celia nie rozumie. Jakże młodość może pojąć wiek dojrzały! Cierpi, buntuje się nie przeciw kochankowi, lecz przeciw życiu. Zamiast wielkiej miłości przeżyła jej namiastkę, nigdy już nie dźwignie się ze swego rozczarowania! To też gdy w następnej odsłonie wraca żona, wszyscy troje dojrzeli już do zacisznego gabinetu na Harley Street i opieki lekarza, który ma pomóc w wybrnięciu z trudnej sytuacji.

Najpierw pojawia się powaśniona para małżeńska. Neurolog zręcznie prowokuje ich do wyznań, wydaje się, że i żona a nie tylko mąż szukała rozkoszy poza domem. Ostatecznie oboje dochodzą do wniosku, że żadne nie ma zdolności do kochania, a mnóstwo spraw ich łączy; najlepiej będzie, jeśli z rozsądkiem potraktują „zły interes", jakim jest ich małżeństwo. Odchodzą pogodzeni, zachęceni słowami spowiednika: „życie we dwoje, życie dwojga ludzi, którzy się nawzajem nie rozumieją, którzy nie mają innych ambicji i pragnień jak płodzenie dzieci, których z natury rzeczy także nigdy nie zrozumieją — to jest dobre życie, a dla wielu ludzi jedyne życie, do którego są zdolni". Z tymi słowami wracają do wspólnego domu, na dalsze klęski i rozczarowania, aż do chwili kiedy śmierć ich rozłączy.

Potem przychodzi Celia. W tym wypadku — lekarz widzi to odrazu — sprawa jest trudniejsza. Dziewczyna się nie skarży, przyjmuje swoją porażkę po sportowemu, ale jest zupełnie rozbita; „muszę wierzyć, że to co się stało, stało się z mojej winy — byłoby stokroć bardziej tragiczne przyjąć, że jest jakiś błąd w konstrukcji wszechświata". Celia była wychowana konwencjonalnie, uczono ją, że grzech nie istnieje, ale oto teraz dręczy ją poczucie grzechu i pragnęłaby dać jakieś zadośćuczynienie pogwałconym przez się prawom życia, o których nie wie nic napewno, ale których istnienie przeczuwa. Serce jej posiada nieograniczone zasoby miłości. Jej nie wystarczy już zwykłe, dobre, ludzkie, prozaiczne szczęście. Skoro nie może być potrzebna człowiekowi, którego sobie wybrała — to nie zadowoli jej już nic innego tylko heroiczne życie dla drugich. Tak, Celia jest jedną z wielu pacjentek, którym lekarz poradzi wyjazd do sanatorium. Tam w spokoju wybierze swoje przeznaczenie. Kwestia wyboru, wolnego wyboru, jaki leży przed każdym człowiekiem w każdej minucie życia — jest tu potraktowana symbolicznie, jest centralnym zagadnieniem sztuki.

W trzecim akcie jest znowu cocktail party u tej samej pary, która żyje już teraz dobrze ze sobą. Minęło dwa lata. Tak samo jak w I akcie zjawia się lekarz, przychodzą inni, których poznaliśmy wcześniej. Brak tylko Celii, a mimo to wszyscy o niej myślą i rozmowa raz po raz ociera się o jej imię. Jakiż los ją spotkał? Została ukrzyżowana w Afryce podczas lokalnych zamieszek — tłumaczy zebranym ktoś, kto niedawno stamtąd powrócił. Jako zakonnicę wysłano ją do pracy misyjnej wśród murzynów i tam oddała życie — „jakże niepotrzebnie" — wykrzykują obecni, zmrożeni oddechem śmierci, o której żadne z nich nigdy nie myśli. Tylko twarz lekarza wyraża spokój i pogodę.

— „Śmierć Celii nie była przypadkiem, nie była niepotrzebna i bezsensowna. Któż wie, ile otuchy dodała cierpiącym murzynom?".

— Więc nie cierpiała? — pyta ktoś z obecnych.

— Oczywiście cierpiała, wszyscy skazani jesteśmy na cierpienie, cierpiała napewno więcej od nas, zwykłych ludzi, to jest cena, jaką zapłaciła za swój tryumf. Albowiem śmierć Celii daleka była od rozczarowania, jakim napoił ją świat. Jej śmierć była tryumfem nad sobą, nad cierpieniem i nad życiem.

I w konwencjonalnie urządzonym sitting-roomie to słowo tryumf zabrzmiało jak trąba archanioła.

Sztuka Eliota jest głęboko religijna, nie w znaczeniu rekwizytu scenicznego, tak jak to miało miejsce w niedawno granej sztuce Zawieyskiego. Jest ona wypełniona prawdziwym poczuciem wieczności, którego powiew potrafi zabłądzić nawet pod dachy eleganckich londyńskich mieszkań i przerazić ludzi, zajętych błahymi sprawami, poczuciem czegoś nieuniknionego i pięknego — poczuciem nieodwołalności istnienia. Czołowa postać świeckiego spowiednika zagrana była wręcz świetnie przez znanego aktora Rexa Harrisona. Ci, którzy uważają, że dźwiękowo angielski jest niefortunnym językiem, niech posłuchają, jak śpiewa angielszczyzna Harrisona! Pomimo głębi psychologicznej i kultury autora oraz jego erudycji, brak jest może trochę świeżości natchnienia poetyckiego, słowa Eliota pełne dojrzałej mądrości nie mają już uroku pierwczego młodzieńczego natchnienia, mają natomiast solidny smak południa życia. Jeżeli chodzi o zawartość myślową i postawienie sztuki psychologiczne — w odróżnieniu od scenicznegogo, bo tam są usterki — to jest ona na najwyższym poziomie.

Publiczność angielska — pomimo delikatnej ręki, z jaką Eliot potraktował temat tak niecodzienny i trudny — przyjęła sztukę z niezrozumieniem i niedowierzaniem.

Aleksandra Poleska

JANUSZ KOWALEWSKI

MIŁOŚĆ ELIASZA HRYNIUKA

W RUBRYCE „narodowość“ Eli napisał „ukraińska“.

I to wywołało całą wojnę w instytucji.

Pewien łysy działacz napisał na podaniu czerwonym ołówkiem: „Nie popieram“. Łysina cierpła mu na myśl, że mógłby „poprzeć“.

Ale inny działacz — w okularach — powiedział: „Ja znam tego żołnierza. Był pod Monte Cassino. Popieram“.

Potworzyły się stronnictwa po wszystkich departamentach instytucji. Łysi mówili, że trzeba polską przede wszystkim ratować młodzież. A okularnicy — że czas najwyższy położyć kres wszelkiej dyskryminacji, że trzeba iść do wolnej Polski ze słowami miłości i zbratania.

Zasady piękne. Ale samym petentem — człowiekiem — nikt się nie zainteresował.

Wojna skończyła się kompromisem. Eli otrzymał odpowiedź:

„Kontygent stypendiów do londyńskiej szkoły sztuk pięknych, będących oddanymi do rozporządzalnej dyspozycji naszej instytucji opiniodawczej, został wyczerpany. Podanie Pańskie będzie jednak wzięte pod uwagę w następnym roku opiniodawczym“. I cały rój podpisów w obłokach zakrętasów.

— Czemu afiszujesz się z tą swoją urojoną ukraińskością — strofował Elego doktór Binensztok, kolega wojskowy. — Czujesz się Polakiem. Organizacje ukraińskie nie chcą się opiekować tobą jako Polakiem, to i bądź formalnym Polakiem.

— Wstydzę się — mówi Eli. — że powiedzą „podszywa się“.

— Na „wstydy“ i manifestacje mogą sobie pozwolić tylko silni: słabym pozostaje jedynie dyplomacja. Ja też miałem ciężkie życie przez tę „narodowość“. Będę próbował coś zrobić dla ciebie.

Eli patrzył na doktora z wdzięcznością i pokorą, ale z góry, jako że o całą prawie głowę był wyższy. Aż dziw, skąd się brała ta nieśmiałość w takim Elim: wygląd bohatera, a dusza zahukanego dziecka: strach przed całym światem zewnętrznym, a przy tym zmysłowe, mocne łaknienie życia.

— Więc urządzi się ciebie tymczasowo na ten rok, dopóki nie otrzymasz stypendium — mówił doktór Binensztok do Elego, gdy spotkali się ponownie. — Kupiłem „freehold“ do spółki z jednym hrabią. Postawiłem warunek, że ty dostaniesz pokój i jakieś dwa, trzy funty tygodniowo.

— Za co?

— Byłbyś hałskiperem. Roboty nie dużo. Do sprzątania miałbyś mój gabinet i mieszkanie hrabiego. Schody dwa razy na tydzień. I jeszcze jakieś tam drobiazgi: łazienki, piec. A pozatym cały dzień masz wolny — maluj, ile twoja kolorowa dusza zapragnie. Jest tam wymarzone dla ciebie — atelier, werenda na dachu, oszklona ze wszystkich stron. Będziesz sobie mieszkał nad dachami Londynu...

— Dziękuję, ogromnie dziękuję... Wdzięczny... — plątał się i płonił uszczęśliwiony Eli.

— Zimą może ci być chłodno. Ale wstawi ci się piecyk elektryczny — z licznikiem — grzej się.

— Dziękuję, panie doktorze... Doprawdy.

— Pojedziesz teraz do hrabiego. Przedstawisz się. Ale to zwykła formalność, bo sprawa jest już załatwiona... Tylko śmielszy-że bądź! Hrabia lubi cwaniaków. Sam jest cwaniak i to jaki, ho, ho. No, smaruj. Masz tu adres. Powołaj się na mnie.

Eli czeka na hrabiego. Patrzy w skupieniu na czerwony dywan i rozpaczliwie namawia się do odwagi. „Czy tak trudno zdobyć się na pewność siebie, nawet tupet?“ — mówi do tego drugiego w sobie. „Trudno, cholernie trudno — odpowiada ten drugi — wiesz, że każde pierwsze zetknięcie z nowym człowiekiem bywa niekształtne i kłujące aż do bólu“.

Powłoka duchowa Elego tak już przywykła do wrogości świata, że zamyka się przed każdą nowością, jak biała dłoń powoju przed pożarem słońca.

Po bezszelestnym dywanie weszła wysoka figura, nakryta wiechą miedzianych włosów. Eli zerwał się z fotela.

— Więc ja właśnie, panie hrabio... Mnie doktór Binensztok w sprawie tej posady...

Zapanowała cisza.

— Czy mogę wiedzieć, kogo mianowicie pan doktór Binensztok był łaskaw mi przysłać?

— Nazywam się Hryniuk.

— Przepraszam? Nie dosłyszałem? — długa, lekko piegowata dłoń podnosi się do białej przezroczystej twarzy, szukając ucha

— Hryniuk... Eliasz Hryniuk.

— Można wiedzieć, z jakich stron?

— Spod Borszczowa.

Niebieskie oczy wpierają się w Elego, jakby chciały wyskoczyć z orbity białych rzęs.

— Hm — powiedział hrabia, prawie nie poruszając wargami.

— Pozwoli pan hrabia papierosa? — Eli wyszarpnął papierośnicę ruchem aż nazbyt gwałtownym i podsunął niemal pod nos hrabiego.

— Dziękuję, jestem przed obiadem.

— To ja już pójdę — powiedział Eli.

Posady nie dostał.

— Jestem zbyt szczerym demokratą — mówił hrabia do doktora Binensztoka — bym mógł służbę w domu traktować, jak ludzi obcych. U nas służba zawsze była niejako częścią domu. Wigilię u nas jadało się przy wspólnym stole. Tak, tak. Chciałbym pozostać wiernym tym demokratycznym zwyczajom ojców... A jakże mi usiąść do jednego stołu z Ukraińcem? Pan przecież wie, jak oni nas nienawidzą. Pan przecież wie, że mordowali Polaków —. A ten, wybacz doktorze, twój protegowany — to jakiś wyjątkowy zuchwalec. Papierosa mu się zachciało przy mnie zapalić! Sięgnął po papierośnicę, to myślałem, że rewolwer wyciąga... Tchórzem nie jestem, ale aż mi serce skoczyło.

Doktór Binensztok musiał ustąpić, bo jednak wspólnik to coś więcej niż kolega z wojska. „Sam sobie winien — usprawiedliwiał się doktór przed sobą. — Dlaczego nie umiał podobać się hrabiemu? W życiu trzeba dyplomacją. Mógł się wyprzeć tej swojej urojonej Ukrainy“.

Eli dostał pracę kuchcika w kawiarni „Pod Parkiem Biskupa“ na Putney.

Tęga szefowa kuchni, zwana „ciotką Amy“, przyjęła go z obojętną życzliwością. Nie wtrącała się do jego kuchcikowskich robót, nie pouczała, nie „donderowała“, wiedząc, że ręce ludzkie, prowadzone ludzką inteligencją, same ujarzmią, prędzej czy później, talerze, tłuste od margaryny, i rondle, brudne od sadzy. Eli był jej wdzięczny za ten czysto angielski dyskretny takt.

W jednej tylko dziedzinie życia ciotka Amy nie przestrzegała reguł angielskiej dyskrecji: lubiła swatać — namiętnie, przebojem. Wiele par małżeńskich w dzielnicy Putney po obu stronach Tamizy zawdzięczało swoje szczęście — lub nieszczęście — tej wybitnie nieangielskiej skłonności ciotki Amy.

Od pewnego czasu do kuchni ciotki Amy przychodzi Rozyna, kasjerka pana Pinka, rzeźnika z sąsiedztwa. Zabiera dwa obiady — dla szefa i dla siebie. Staje naprzeciw Elego i wyciąga przed siebie rękę. Eli podaje jej cztery łyżki, dwa widelce, dwa noże. Rozyna ujmuje je dłonią długą, ale niezbyt wąską, prawie męską, nielakierowaną i patrzy w jego oczy spod opuszczonych powiek. Fala krwi, jak wyznanie, wypływa obojgu na policzki. A szerokie usta ciotki Amy kwitną uśmiechem. Rozyna odchodzi, kołysząc biodrami. Z ciemnawego korytarza rzuca spojrzenie, jak bukiecik fiołków. Zostaje po niej różowa smuga jej rumieńca i zapach lawendy.

„Rozyna zupełnie, jak nasze dziewczęta — myśli Eli. — Gdyby jej tylko włosy zapleść z tyłu głowy w drobniutkie warkoczyki“...

— Na co czekasz? mówi ciotka Amy do Elego. — Dziewczyny u nas nie drożą się ze swymi pocałunkami, ale same nie zaproponują. Propozycja to męska rzecz. Rozyna ma własny domek...

Pewnej uroczystej soboty Eli, rumieniąc się, zaprosił Rozynę do kina.

Ciotka Amy z miejsca podwyższyła Elemu tygodniówkę o siedem szylingów i sześć pensów.

— Tylko nie kupuj drogich biletów. Rozyna ma krótki wzrok — w kinie wystarczy jej trzeci rząd. A na kolację idź do niej do domu. Szkoda pieniędzy na kawiarnię. Rozyna ma zawsze dużo jedzenia. Szef jej nie żałuje.

Ciotka Amy uśmiecha się swym uśmiechem rozumiejącym życie.

Eli chłonie kwiaty w Parku Biskupa.

— Widzisz — mówi do Rozyny, wskazując jej dalie — tę najwyższą: bordo, fiolet i złoto na czerwonym tle muru?

— Very nice — mówi Rozyna.

— Tylko natura potrafi dysharmonię przekształcić w harmonię. A tamta, ze wszystkimi odcieniami różu i kremu...

— Very nice, indeed.

— Każda inna. Jakie bogactwo...

— W bukietach i wieńcach pożądane są kwiaty jednej barwy i jednego kształtu — mówi Rozyna rzeczowo.

W National Gallery zainteresował Rozynę obraz, przedstawiający nagiego Bachusa i nimfy.

— To jest bardzo życiowe — powiedziała — starsi panowie lubią takie zabawy. Eli nie dosłyszał tej uwagi.

Z czasem jednak, wiedziona intuicją kobiet kochających, Rozyna polubiła piękno dla piękna, nie dla skojarzeń „życiowych“. Eli potrafił wydobyć jej przyrodzoną wrażliwość artystyczną spod pokładów wegetatywnego „veryniece“ 'u. Ze wzruszeniem słuchał, gdy określała rysunek, barwę i plastykę obrazów — słowami prostymi a ładnymi. Oto rozwija się w niej szczep jego własnej duszy.

Patrząc teraz na Rozynę, doświadcza uczuć takich, jak w owych dniach upojenia, gdy chłonął zapach wiosenny tamtej ziemi, pogiętej rozmaicie w jary i pagórki, pociętej w światła i cienie, bogatej w niezliczone półtony zieleni i błękitu. Z widokiem Rozyny kojarzyła się nagła nadzieja, że tamta ziemia tajemnej radości nie zapadła się, że istnieje, i że pewnego dnia wynurzy się tak, jak oto teraz wychyla się Rozyna spoza zielonej ściany parku Biskupa.

Stoją równymi rzędami narcyzy — motyle na zielonych sznurkach. Fiołki dotykają szmaragdu traw. Krokusy wielbią Boga złożeniem białych i złocistych dłoni Bezlistne jeszcze, a już kwitnące

ROMAN STAWARSKI

JESZCZE JEDEN JUBILEUSZ

PRZYPADKIEM wpadł mi do rąk okazale wydany druk: program trzydniowych uroczystości jubileuszu przygarnięcia przez Anglię hugenotów francuskich i innych protestantów z kontynentu. Tego aktu udzielenia azylu dokonał 400 lat temu młodociany król Edward VI, biedny chłopiec, którego najpiękniejsze chwile opowiada słynna legenda o księciu i żebraku, chorowity syn Henryka VIII i jednej z jego 6 żon. Rządy Edwarda zostały wyzyskane przez łupieżców dóbr kościelnych i przez hurra reformatorów na całkowite zniszczenie tego, co Henryk VIII jeszcze katolickiego w Anglii przez siebie zdeptanej zostawił. W tym właśnie czasie wprowadzono najradykalniejsze odmiany protestanckie w chwilowe credo anglikańskie.

W program wspomnianych uroczystości wchodzi także wystawa pamiątek po hugenotach, organizowana przez katolika, radcę ambasady francuskiej p. René Varin, różne nabożeństwa etc. protestanckie, a w dniu 24 lipca w anglikańskiej katedrze św. Pawła w Londynie odbył się specjalny „Culte d'actions de graces“ — „kult dziękczynny“. Jak czytamy w pięknym zaproszeniu, nabożeństwo to odbywa się „na wspomnienie dnia, kiedy właśnie 400 lat temu król Edward VI podpisał Kartę Królewską, przedstawioną mu przez **Jana a Lasco**, a którą upoważniał uchodźców protestanckich wszystkich języków do życia w spokoju na Wyspach Brytyjskich i do wielbienia Boga według rytu Kultu Zreformowanego“.

Jean a Lasco. Jan Łaski, słynny bratanek arcybiskupa gnieźnieńskiego, sam ksiądz i kanonik, który przeszedł na protestantyzm, rozwijał niezwykle ożywioną działalność w Anglii, Niemczech, Szwajcarii, Holandii, znów kajał się w swym sumieniu i wracał do Polski jako katolik, by potem uciekać na zachód i grążyć się w coraz radykalniejszych imprezach, idąc z luteranizmu do kalwinizmu, z kalwinizmu do zwinglianizmu, aż wreszcie stanął u wrót socynjanizmu. A to równało się już zaprzeczeniu podstawowej wiary chrześcijańskiej i było, w tamtych warunkach, praktycznie przejściem do komunizmu avant la lettre.

Według badań historycznych angielskich nad reformacją w tym kraju, to właśnie Łaski był tym, który z zamętu swej chwilowej ucieczki ze Szwajcarii, przywiódł chwiejnego Cranmera, mętnego teologa a świetnego stylistę, do wykreślenia z „anglikanizmu“ za Edwarda Mszy św., rzeczywistej obecności Chrystusa Pana i Kapłaństwa.

Z punktu widzenia katolickiego ten nieszczęsny Polak wyrządził narodowi angielskiemu ciężką krzywdę, większą, niż Henryk VIII, najcięższą, jaką ludziom chrzczonym wyrządzić można, cięższą od herezji i schyzmy poszczególnej. A jednak oficjalnie jest czczona jego interwencja na rzecz protestantów innych narodowości w Anglii.

Czyż więc może, dla ekspiacji, inni uciekinierzy w sprawach sumienia tak bez życzliwości, tak nieufnie są tu przyjmowani? Także przez katolików angielskich? Różne niewesołe refleksje przychodzą na myśl.

Zbiża się oto stulecie przywrócenia hierarchii katolickiej w Anglii, stulecie związane z imieniem kardynała Wisemana (którego „Fabiolę“ każde niemal dziecko polskie czytało).

Dramatyczny to jubileusz. Z poprzednim, o którym wyżej była mowa, łączy się osobą kardynała Newinana, po matce potomka tych przygarniętych 400 lat temu hugenotów francuskich. Jego znów postać jest dowodem, że głos sumienia i uczciwa wolność słuchania tego głosu prowadzi w końcu do Kościoła.

I nie przeciw tej wolności tu występuję, chociaż... Chociaż tragiczne budzą wspomnienia te nagrobki zachowanego w Dublinie cmentarza protestantów francuskich, uchodźców i potomków uchodźców, gdy patrząc na nie człowiek uprzytomni sobie, że ci ludzie przygarnięci „jako prześladowani“, dla zapewnienia sobie wolności sumienia, służyli jako siepacze w jakże srogich, jakże hitlerowskich w swej naturze prześladowaniach nieszczęsnych katolików irlandzkich, w prześladowaniach za ich wiarę i za ich narodowość. Ale czytając tryumfalne niejako echa przygarnięcia przez ten kraj przed czterystu laty protestantów kontynentu dzięki niespokojnemu, wielkiej inteligencji Polakowi, jakże dziwne uczucia budzą się w sercu i budzić się muszą u wielu katolików, korzystających z „azylu“ w Anglii, katolików zza wszelkich żelaznych kurtyn. Z jednej strony spotykają się tu z planową propagandą różnych sekt i nie sekt, z drugiej zaś z dziwną nieraz obojętnością miejscowych katolików, a czasem nieżyczliwością i pełnymi wyższości a płynącymi z fałszywych przesłanek pouczeniami. Czy będą katolicy angielscy o tym pamiętać kiedyś, gdy znów nowy jubileusz odrodzenia swej hierarchii będą obchodzili?

Oczywiście, można cytować obfite a chwalebne wyjątki, można i trzeba cytować wypowiedzi oficjalne, ale jakże nieraz dziwna i bolesna praktyka, w wielu, bardzo wielu przypadkach. I „Catholic Herald“ wskazywał na to, a nie tak dawno „Tablet“ pisał, że w Anglii nie 3 i pół lecz 10 milionów katolików powinno już być w tym kraju, po stu latach wolności, gdyby nie dziwna obojętność i metody stosowane do imigrantów np. irlandzkich... Czyżby wolność Kościoła w Anglii nie była jeszcze wolnością prawdziwą? Czyżby więc działały jeszcze ukryte sprężyny, które niekiedy paraliżują najlepszą nawet wolę, skłaniając ją do zabezpieczania jedynie minimum? Czy też inne wchodzą tu czynniki w grę?

Oto pytania, które sobie stawiać tu może każdy katolik wygnaniec, niezależnie od kraju, z którego pochodzi.

Roman Stawarski

różowymi obłoczkami, chwieją się na wietrze gałązki drzew.

Rozyna...

• • •

Ciotka Amy wychodziła właśnie z kawiarni, gdy wyrósł nad nią Eli — wysoki, zlekka pochylony, widmowy w neonowym świetle latarni ulicznej.

—Czy pani wiedziała o tym?

— O czym?

— Że Pink... Że Rozyna...

— Była jego przyjaciółką? Cały Putney wie. Jego żona też wie, ale mimo to jest uprzejma dla Rozyny, bo dziewczyna jest przyzwoita — nigdy nie nadużywa swego stanowiska...

— Jak ona mogła... Całować mnie i jednocześnie...

— Nie bądź szalony — takich rzeczy nikt jednocześnie nie robi.

Eli już nie słuchał. Długimi krokami przebiegł na drugą stronę ulicy i znikł w bocznej uliczce. Ciotka Amy stała i patrzyła. Jej duże półotwarte usta zamarły, jak para parówek na wystawie u pana Pinka, szefa Rozyny.

• • •

Wielka, gorąca, skwiercząca hala kuchni hotelowej różni się od kuchenki ciotki Amy, jak bitwa czołgów od utarczki patroli wywiadowczych. Eli porusza się wśród obcych sobie ludzi i rzeczy, jak w kłującym żywopłocie. Pracuje tu dużo Polaków. O Elim mówią „ten Ukrainiec". Anglicy, oczywiście, nie odróżniają go od innych Polaków. Jeden z kucharzy, Szkot, z dużym sępim nosem, nienawidzi Polaków. Pewnego dnia przyniósł gazetę i przeczytał — głośno, prowokacyjnie —, ile to Polacy kosztują Wielką Brytanię.

— W czterdziestym roku nie pytaliście się, ile kosztuje nasze życie...

— Gotowiście byli oddać nawet żony i córki...

— A szczególnie Szkoci!— krzyczą Polacy.

— Shut up, you dirty fool! — wrzeszczy nosacz.

Jeden z Polaków, dodzierający resztek munduru lotniczego podszedł i lunął w szczękę.

Z miejsca dostał wymówienie. Inni Polacy odeszli natychmiast na znak protestu.

— A ty? Dlaczegoś nie poszedł z innymi? — pyta szef kuchni.

Eli patrzy na niego oczami nie z tego jakby świata i, nic nie mówiąc, wychodzi, ale nie z innymi. Samotny idzie w stronę Parku Biskupa.

Udręka samotności jest bólem, który męczy najdłużej. Kto wie, czy nie do ostatniej chwili.

Orkiestra w Parku gra „Only five minutes more". Eli staje nad długim zagonem dalii. Potem wchodzi lunatycznie w gąszcz zielonych łodyg. Ręka czuje ciężar żelaza, wyszarpniętego z kieszeni. Eli unosi głowę ku niebu bezwiednym ruchem wędrowca, który bada drogę przed sobą.

Dozorca parkowy zdaleka zobaczył, że jakiś barbarzyńca wchodzi wprost w klomb dalii. Zanim dobiegł, intruz skrył się już w głębi kwitnącego lasu. Ogrodnik rozchyla delikatnie zielone badyle i widzi, jak tamten stoi z głową zadartą ku górze, potem osuwa się powoli na kolana... Płacze? Tak., nawet słychać szloch. Modli się? Może się modli. Dozorca cofa się delikatnie, aby nie połamać kwiatów. Podchodzi do najbliższej ławki i postanawia czekać, aż tamten się wypłacze.

„Ten człowiek tam musi być nieszczęśliwy, jeśli się modli, i bardzo słaby, jeśli płacze... I chyba bardzo samotny, jeśli płakać przychodzi tutaj, między ludzi" — myśli dozorca.

Orkiestra grać przestała, grajkowie się rozchodzą, park pustoszeje.

Dozorca wchodzi na palcach w wysokie badyle. Człowiek wciąż klęczy. Dozorca dotknął jego ramienia i mówi:

— Bardzo pana przepraszam. Niestety, zamykamy park.

Podnosi się ku niemu blada twarz o wielkich niebieskich oczach dziecka lub świętego.

„Człowiek, który ma takie oczy nie może być zły. Ale słabe to jest, słabe. Trzeba mu pomóc. Tak, trzeba mu pomóc" — myśli dozorca i ujmuje klęczącego pod ramiona.

Janusz Kowalewski

MALAPARTE NA INDEKSIE

SŁYNNA rzecz Curzio Suckert — Malaparty'La peau' została zapisana na indeks książek zakazanych. Jako motyw inskrypcji podano nieczysty, pornograficzny język autora. Nawiasem warto dodać, że książka ta wywołała wielkie wzburzenie w kołach neapolitańskich i została potępiona jednomyślnym sądem czynników Neapolu jako „diffamatoria i oltraggiosa", oszczercza i obraźliwa. Rzecz jasna, że pomiędzy orzeczeniem Oficjum indeksu a potępieniem neapolitańskim nie ma żadnego związku.

Zasada indeksu istniała i istnieje wszędzie jako instytucja państwowa i kościelna. W Kościele istnieje, mówiąc prawdę od samego początku, mianowicie od dnia, w którym św. Paweł kazał spalić książki szerzące zabobon. „Cóż jest droższego nad dusze, cóż kosztowniejszego nad wiarę? I dusze jednak i wiara ponoszą szkody przez tego rodzaju czytanie". Takie orzeczenie wydali ojcowie soboru efeskiego, gdy potępili dzieła heretyckie. I takie też jest stanowisko Kościoła, zrozumiałe dla każdego, kto szczerze przejmuje się faktem, że czystość wiary i troska o jej utrzymanie jest dobrem najwyższego rzędu. Włożenie książki na indeks jest jak zapalenie czerwonego sygnału: — baczność, bo możesz narazić na szkodę siebie i drugich. I jak podporządkowanie się sygnałom ruchu nie krępuje niczyjej wolności, tak też i stosowanie się do ostrzeżeń Kongregacji indeksu nie jest żadnym ‚uniemożliwieniem wolności wiedzy i badania' — nie mówiąc o tym, że dzieła naukowe niemal że na indeks nie trafiają.

Kiedy na indeksie został umieszczony „Rzym" Zoli, prasa przedrukowała charakterystyczny głos nie wierzącego krytyka teatralnego Francisque Sarcey'a (1827 — 1899): „Jeśli moje krytyki literackie wielu ludzi uważa za wyrocznię, dlaczego to samo wydaje im się straszne u papieża? Ja staram się ochraniać dobry smak w literaturze; dążeniem papieża zaś jest obrona prawdziwej wiary".

Każdy może uzyskawszy pozwolenie przeczytać książkę potrzebną, choć się na indeksie znajduje. Fakt inskrypcji wzmaga jednak ostrożność przy czytaniu. Żadna „głębokość i siła wiary myślących katolików" nie usuwa obaw o wpływ nieostrożnej lektury, jak tego dowodzą dzieje tylu teologów i kapłanów z czasów modernizmu.

Inne jest zagadnienie dobrowolnego podporządkowania się pisarza. Są to nieraz akty heroiczne, jak np. w wypadku Fénélon'a, gdy zostały potępione 23 zdania z jego „Maximes des Saints". Inne jest zagadnienie pomyłek, które się zdarzyły przy inskrypcji na indeks. Znalazły się przecież na nim nie mówiąc o słynnej sprawie Kopernika dzieła... św. Roberta Bellarmina (z małodusznego powodu, że tak obiektywnie przedstawia tezy przeciwników, iż z jego ‚Controversiones adversu huius temporis haereticos" można się uczyć zarzutów przeciw Kościołowi), o. Croiset, apostoła nabożeństwa do Serca Jezusowego etc.

W związku ze sprawą książki Malaparte „Osservatore Romano" przypomina jak postąpił autor „L' Entrametteuse", Ernest, syn Alfonsa Daudet, gdy kardynał Paryża potępił jego romans, wydany w 1922 r. Nazajutrz po potępieniu napisał list do kardynała, w którym oświadczył, że ponieważ w jego książce są miejsca mogące zgorszyć „dusze niewinne, dla których zresztą książka moja w żadnym wypadku nie jest przeznaczona", zakazuje jej druku, unieważnia wszelkie umowy z wydawcami i poleca skreślić ją z wszystkich katalogów. Nie był to bynajmnie jakiś katolik szczególnie zdyscyplinowany. Najprawdopodobniej podobny akt ze strony Suckerta nie nastąpi, autor bowiem z urodzenia nie jest katolikiem.

JOT

KRONIKA KULTURALNA

WIADOMOŚCI OGÓLNE

We Florencji odbył się niedawno zjazd organizacji kulturalnej Zjednoczonych Narodów. 900 delegatów 53 narodów wysłuchało tasiemcowych sprawozdań z zeszłorocznej działalności tej kosztownej, ale — jak dotychczas — raczej sennej organizacji znanej pod nazwą UNESCO. Wątpliwe, czy którykolwiek z delegatów zdołał przeczytać wiele tysięcy stron dwujęzycznych elaboratów sprawozdawczych, które zapełniały wieloma warstwami długi na 27 stóp stół konferencyjny. Wydaje się, że pisanie sprawozdań — choroba naszego wieku — zajmuje więcej czasu niż istotna działalność tej bardzo laickiej organizacji, starającej się obecnie skoncentrować gros swych wysiłków na sprawach pedagogicznych. Nie potrzeba dodawać, że UNESCO jest silną twierdzą nadwątlonej przez ostatnie przewroty i wojny masonerii, która chciałaby się obecnie odegrać w dziedzinie kulturalnej i pedagogicznej i stać się czymś w rodzaju międzynarodowego kościoła laickiego bez Boga i bez dogmatów. Na razie są sprawozdania, z których wynika, że UNESCO prowadziło swe seminaria w Mysore, Elsinore i Rio de Janeiro. W najbliższym roku otworzone zostanie na Haiti Centrum Nauczania dla nauczycieli ludowych. Ponadto istnieje w ramach UNESCO instytucja badawcza pod nazwą „Hylean Institute on the Amazon", która bada wszystkie minerały w dorzeczu Amazonki i planuje rozwój w tym rejonie. W ciągu ostatniego roku udzielono 430 jednorazowych stypendiów (ale bodaj żadne z nich nie przypadło w udziale uchodźcy politycznemu zza żelaznej kurtyny) i 100 stypendiów na podróże naukowe. Do Afganistanu, Sjamu i na Filipiny wysłano jakieś misje wychowawcze (z pewnością nie chrześcijańskie); utrzymywano 16 ośrodków naukowych rolniczych; 46 centrów, instytutów i biur wydawniczych pracowało na całym świecie: zbierały i przekazywały sobie nawzajem informacje o nauczaniu,, wychowaniu i badaniach naukowych.. Wszystko to kosztowało 8 milionów dolarów — to znaczy tyle ile ma wydać firma Metro Goldwyn Mayer na wyprodukowanie wielkiego filmu „Quo Vadis". Publicysta „Public Opinion", który wycisnął te dane ze stosu raportów ułożonych na owym potwornym stole we Florencji, dodaje, że mimo tej pisaniny przeciętny człowiek kulturalny nie bardzo się orientuje, czym właściwie zajmuje się UNESCO i co właściwie ta nazwa oznacza. A brzmi ona w całej swej krasie „United Nations Educational, Scientific and Cultural Organisation", czyli po naszemu Organizacja Wychowawczo-Naukowo - Kulturalna Zjednoczonych Narodów.

ŻYCIE NAUKOWE

Londyńska Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych otrzymała w ramach prawodawstwa polskiego pełne prawa wyższej uczelni. W lokalu uczelni przy ulicy Bolton Gardens 32 w zamkniętym gronie profesorów, studentów i zaproszonych gości odbyła się uroczystość nadania tych praw. Przybyli: Prezydent August Zaleski i ministrowie Z. Rusinek i M. Sokołowski. Cele i zadania Szkoły przedstawił w przemówieniu wstępnym przewodniczący Rady Naukowej J. Starzewski, po czym min. Rusinek imieniem Rządu R. P. dopełnił aktu nadania Szkole praw akademickich. Podziękowania imieniem słuchaczy złożył Prezes Bratniej Pomocy p. Kosowicz. Sprawozdanie z działalności Szkoły przedstawił sekretarz generalny T. Kasprzycki. W ramach dotychczasowej działalności pedagogicznej wygłoszono ponad 700 wykładów i wydano liczne skrypta. Wstępny wykład z cyklu poświęconego kulturze polskiej wygłosił następnie dr Z. Nowakowski.

• • •

W połowie lipca odbyło się w Polish Research Centre w Londynie pod przewodnictwem prof. A. Żółtowskiego zebranie organizacyjne Zrzeszenia profesorów i Docentów z Krajów Europy Środkowej. Celami Zrzeszenia są m. in.: łączność między naukowcami wspomnianego obszaru przebywającymi na wychodźctwie, zachowanie i rozwój dorobku kulturalnego krajów środkowo - europejskich, dążenie do stworzenia własnych wyższych zakładów naukowych i badawczych oraz przygotowanie zorganizowanej współpracy w dziedzinie nauki wszystkich krajów Europy Środkowej po ich uwolnieniu. Wybrano zarząd Zrzeszenia w składzie następującym: Prezes — prof. Ullein Reviczky (Węgry) wiceprezesi — prof. Jovanowicz (Jugosławia), Dalapczew (Bułgaria) i Hełczyński (Polska), sekretarz generalny — prof. Lechocki (Polska), skarbnik — prof Soad (Węgry), członek zarządu — prof. Sulimirski (Polska). Zebranie to zleciło zarządowi m. in. nawiązanie współpracy ze Zrzeszeniem Dziennikarzy oraz Ekonomistów zza żelaznej kurtyny.

KULTURA RELIGIJNA

Zamieszczona w ramach moich przeglądów wzmianka o „Pacierzu prostytutki", drukowanym w tygodniku „Catholic Herald" wywołała zainteresowanie i zapytania czytelników ŻYCIA. Wobec tego podaję ją w pełnym przekładzie:

„O dobra Mario Magdaleno, która miałaś ongi równie złe imię ,jak ja mam teraz, czy zechcesz poprosić Pana, aby uczynił dla mnie to, co zrobił dla ciebie? Ubóstwo doprowadziło mnie do tego, a nałóg trzyma mnie na tej drodze ,ale Ty mnie zrozumiesz ,bo także byłaś nadużywana i pogardzana jak ja. A jednak Pan wybaczył Ci i odkrył w Tobie miłość, którą skierował na Siebie. Oby tylko zechciał uczynić to ze mną! Ty nie byłaś silniejsza ode mnie i tak jak ja czułaś swe poniżenie ,a jednak... A zatym wstaw się za mną .Amen."

Modlitwa ta ukazała się w numerze „Catholic Herald" z dnia 31 marca br. w dziale „modlitw zawodowych". Autorem jej jest X. A. Gille.

JĘZYKOZNAWSTWO

Zastanawiałem się długo czy ostatnie wystąpienie batiuszki Stalina w dziedzine językoznawstwa zaliczyć do polityki ,nauki,, czy religii. Cokolwiek ponadto możnaby o tym powiedzieć ,należy ono do swoiście pojętej — religii. Bo czytając artykuł (nazywa się to oficjalnie „pracą") Józefa Stalina, zamykający dwuletnią czystkę i liczne pokajania uczonych lingwistów sowieckich, widzi się naocznie, ile irracjonalnego, „mistycznego" niewątpliwie w pewnym sensie religijnego elementu mieści się w rzekomo trzeźwych i bardzo utylitarnych „orzeczeniach" „papieża" stalinizmu - marksizmu - leninizmu. Przemawianie o sobie w stylu „Stalin powiedział wtedy i wtedy i miał rację" ,mówienie o zdarzeniach, które mają rzekomo nadejść za setki i tysiące lat jako o faktach niewątpliwych, matematycznie pewnych, scholarskie, odgórne rozstrzygnięcia co powiedział Najwyższy Rabin Lenin etc. etc. — to wszystko jest tak oderwane od rzeczywistości i jej praw, tak pozbawione zmysłu proporcji, tak wyprane z poczucia humoru, że tylko ślepą wiarą można wytłumaczyć fakt powstawania takich proroczych oświadczeń i jeszcze dziwniejszy fakt dawania im wiary przez ludzi bądź co bądź wykształconych.

„Praca" Józefa Stalina jest odpowiedzią uczonym sowieckim Marrowi, Mieszkowowi, Kowalczukowi i innym, i nosi tytuł „Kwestia narodowa a leninizm". W pierwszej części Stalin zarzuca językoznawcom rosyjskim, że poplątali dwie fazy rozwojowe komunizmu: epokę zwycięstwa komunizmu w poszczególnych krajach i w całym świecie, a rozpłynięcie się języków narodowych w języku światowym przewidzieli przedwcześnie. Po przytoczeniu „błędnych poglądów" Kautsky'ego i „ewangelji" Lenina, po wielokrotnym powtórzeniu (dla większego nacisku widocznie) tych samych tez i przesłanek, Stalin pisze:

„Błędem byłoby sądzić, że pierwszy etap okresu światowej dyktatury proletariatu będzie początkiem obumierania narodów i języków narodowych, początkiem kształtowania się jednego wspólnego języka. Odwrotnie, pierwszy etap, w ciągu którego ostatecznie ulegnie likwidacji ucisk narodowy — będzie etapem rozwoju i rozkwitu uciemiężonych przedtem narodów i języków narodowych, etapem ustanowienia równouprawnienia narodów, etapem likwidacji wzajemnej nieufności między narodami, etapem organizowania i umacniania internacjonalnych więzów pomiędzy narodami. Dopiero na drugim etapie okresu światowej dyktatury proletariatu, w miarę kształtowania się jednej światowej gospodarki socjalistycznej zamiast światowej gospodarki kapitalistycznej ,zacznie się kształtować coś w rodzaju wspólność posiadania jednego wspólnego nego języka, albowiem dopiero na tym etapie narody odczują konieczność posiadania jednego wspólnego języka międzynarodowego obok własnych języków narodowych — dla ułatwienia stosunków wzajemnych i współpracy ekonomicznej, kulturalnej i politycznej. A zatem na tym etapie języki narodowe i wspólny język międzynarodowy (mieżnacjonalnyj) będą istniały równolegle".

Podałem małą próbkę „orzeczenia naukowego" Stalina według przekładu zamieszczonego w całej prasie polskiej. Nie ulega kwestii, że to pseudonaukowe oświadczenie ma sens polityczny i obliczone jest na dalsze tumanienie narodów podbitych przez Rosję przez obiecywanie im swobodnego rozwoju narodowego.

LITERATURA

Doroczna nagroda krajowego PEN Clubu polskiego za najlepszy przekład z literatury obcej na jezyk polski (w wysokości 100. 000 zł.) została przyznana Adamowi Ważykowi za całokształt działalności przekładowej ze szczególnym uwzględnieniem przekładu „Eugeniusza Oniegina", utworów Majakowskiego, Rimbauda i Apollinaire'a. Inną doroczną nagrodę z tej dziedziny — mianowicie za przekłady z literatury węgierskiej na polski (75.000 zł.) orzymał Marian Jachimowicz za przekład Petofiego. Nagroda ta została ufundowana w wykonaniu polsko - węgierskiej umowy kulturalnej.

* * *

Głośny poeta amerykański Edgar Lee Masters, który wsławił się w pierwszym dziesiątku obecnego stulecia tomem wierszy o życiu małego miasteczka amerykańskiego pt. „Spoon River Anthology" — zmarł ostatnio w podeszłym wieku.

MALARSTWO I RZEŹBA

W „Maison de la Pensée Française" w Paryżu odbywa się obecnie wystawa dzieł wielkiego malarza francuskiego Matisse'a ,odznaczająca się szerokim wachlarzem pokazanych obrazów i rysunków. Wystawiono projekty zdobienia kaplicy w Vence (t. zw. „Kaplicy Matisse'a"), nad którymi mistrz obecnie pracuje i liczne prace z ostatnich lat ,dotychczas nigdzie nie wystawiane.

* * *

W Zurychu, w Kunsthausie odbywa się wielka wystawa sztuki europejskiej ,od XIII do XX wieku. Niezależnie od własnych zbiorów tego bogatego szwajcarskiego muzeum pokazano w ramach wystawy obecnej liczne arcydzieła należące do kolekcji prywatnych — zarówno obrazy jak rzeźby. W pierwszej sali umieszczono także rzeźbę w drzewie z XII wieku — „Jana Ewangelistę", wykonaną przez znanego artystę walońskiego. Dalej reprezentowane są dzieła Riemenschneidera i Konrada Witza (XII i XIV wiek), szkoła włoska (m. in. piękne „Ukrzyżowanie z Rimini", XIV w. i „Portret mężczyzny" Antonella de Messina), liczne obrazy holenderskie z XVII wieku (cudny ,mały portret Holbeina, Rembrandty, Rusdäele, nieznane dotychczas szerszej publiczności dzieła F. Halsa i in.) Ze starszych malarzy francuskich wystawiono Fragonarda, Rigauda, Davida, Corota, Courbeta, Daumiera. Ze Szwajcarów figurują m. in. Füssli i artyści XIX wieku oraz sporo współczesnych (m. in. Hodler), jest kilka obrazów Norwega Muncha. Gauguin, Van Gogh i impresioniści są bogato reprezentowani, Cézanne'owi poświęcono specjalną salkę, pokazano cztery piękne płótna Rousseau „(Lew rzucający się na antylopę", „Portret Pierre Loti", „Promenada" i „Waza z kwiatami"). Ostatnią salę zarezerwowano dla sztuki abstrakcyjnej i dla surrealistów (Kandinsky, Klee, Picasso, Braque, Léger, Gris à Arp, Magnelli, Chirico, Tanguy i in.). Polacy, którzy będą mogli sobie pozwolić na wyjazd letni do Szwajcarii, (a jest takich trochę) powinni skorzystać z okazji i objeżrzenia tej wspaniałej międzynarodowej wystawy.

X. HENRYK MALAK

NA DACHAU PADA CIEŃ ZAPOMNIENIA

TYSIĄCE obcokrajowców, zwłaszcza pielgrzymów Roku Świętego, zjeżdżają ostatnio do Europy. Rzym, Paryż, tereny ostatniej wojny, odbudowujące się gwałtownie miasta niemieckie — wszystko to warto zobaczyć, obojętnie czy się jest Amerykaninem czy Hindusem.

Ludzie zamożni mogą sobie pozwolić na niejedną przyjemność, a że właśnie w tym czasie dają sławne na cały świat przedstawienia pasyjne w Oberammergau, mało który z nich powściąga swą ciekawość. Tysiące więc ludzi przesuwa się przez małą, aplejską mieścinę. Kogo tam nie widać... Przedstawiciele wszystkich ras i narodowości, zmieszani z tubylcami, tworzą falujący na ulicach miasteczka tłum. Najmniej jednak znajdziesz tam wychodźców, może dlatego, że jesteśmy najbliżej...

Postanowiłem dostać się tam za wszelką cenę, i to z tęgim notatnikiem i pamiętającym niejedną wyprawę aparatem fotograficznym, by właśnie z bracią wychodźczą podzielić się spostrzeżeniami.

*

Miał człowiek kiedyś wielką wprawę w podróżowaniu na „auto stop" i stary a tani ten sposób tak wrósł mu w kości, że nadal szuka okazji, tym więcej, jeżeli skromny zapas gotówki włożyło się w filmy i inne konieczne w takich wypadkach przedmioty ,a na bilet zabrakło.

Jakoż dla szukającego znalazła się okazja. Znany czytelnikom „Ostatnich Wiadomości" obrońca polski mec. Chwiałkowski *) wybiera się właśnie w sprawach kacetowskich do Monachium. W kilka minut sprawa zabrania omówiona. Doskonale.

W Monachium zatrzymujemy się w „Radzie Polonii", gdzie przyjmuje nas serdecznie mec. Gutowski i po załatwieniu spraw, już we trójkę ruszamy do — Dachau. Niepodobna bowiem, będąc w tych stronach, nie wstąpić na chwilę do miejsca ,gdzie spędziło się przeszło pięć lat.

— Dobrze!... Pojedziemy z księdzem do Dachau, za to jednak wybierze się ksiądz z nami do Murnau — szachuje mnie aż dwu mecenasów.

Nie umiem ukryć radości. Ustrzelić przy okazji wyjazdu do Oberammergau dwie takie sztuki jak Dachau i Murnau, toż to wspaniały sukces, tym większy, że wyduszony na dwu dzielnych prawnikach. Jedziemy.

*

Dachau — matka obozów koncentracyjnych, Dachau — centrum wyszkolenia i zaopatrzenia SS na całe Niemcy, Dachau — prawzór dla setek podobnych katowni, nie wyłączając naszej polskiej Berezy, Dachau — ziemia bez Boga, a jednak miejsce święte dla tysięcy, Dachau — poligon śmierci pojawia się szarą plamą na rozpalonym czerwcowym słońcem horyzoncie.

Nie potrafię opisać uczucia i wrażenia, z jakim zapyloną drogą mkniemy do celu. Stare... przeklęte... a jednak tak drogie Dachau.

Nic się tu nie zmieniło od roku 1940, gdym je ujrzał po raz pierwszy. Te same schludne domki przy drodze ,to samo skwarem spieczone niebo jak w tamte dni, gdy o rozpalony beton jezdni waliły tysiące kutych blachą, drewnianych, ciężkich chodaków. Ten sam wielki komin strzela czerwoną krechą prosto w spopielone żarem niebo, a tylko drzewa podrosły i przydrożne krzewy nabrały rozmachu, i tylko tu i ówdzie pozieleniała mchem czerwona dachówka. Wiadomo... dziesięć lat, to kupa czasu.

Żeby dostać się do obozu Dachau, trzeba przebrnąć przez cały szereg placów, ulic, minąć kompleksy dawnych koszar esmańskich, magazynów, fabryk, budynków administracyjnych, a na samym wstępie posterunek amerykański, strzegący wstępu w głównej bramie, gdyż cały ten obszar oddany jest do dyspozycji armii. Dopiero na skraju tego wielkiego i mocno zabudowanego obszaru, przylepiony do jego boku, leży właściwy obóz więźniów.

Legitymacja prasowa ułatwia nam wejście. Dwaj mecenasi, podkasawszy na ten moment togi, dźwigają aparaty fotograficzne; grają rolę reporterów. Samochód musimy pozostawić przed bramą. Idziemy przez puste place, ulice, mijamy koszary, magazyny — wszystko pięknie odnowione i odmalowane.

Wokół cisza. Mimo więc jasnego dnia niesamowite wrażenie sprawia echo naszych kroków, myszkujących po zakamarkach byłego państwa SS. Jeszcze pięć lat temu było tu tyle gwaru, tyle życia... Dzisiaj — to zamarłe miasto.

Minąwszy ostatni zakręt, stajemy u wylotu topolowej alei, wiodącej ku głównej bramie, do właściwego obozu. Czuję, jak serce dziwnie łomoce mi w piersi. To była droga bez powrotu dla wielu tysięcy... droga męki dla niekończącego się szeregu... droga wolności dla nielicznych, a dla „tamtych" droga zatracenia, z której oskarżać ich będzie każdy męczeński krok, każda kropla krwi i potu na niej wylana.

Przeklęta i zarazem święta droga. Trzy razy dziennie prężyła swój betonowy, twardy grzbiet pod buciarami tysięcy, codziennie osychała z lanych na niej łez, każdego poranku krzepła w przerażeniu, gdy przez rozwartą bramę wytaczał się na nią zaprzężony w jeszcze żywych, potworny wóz śmierci, wiozący ofiary nocy ku krematorium... Chciałby człek - bluźnierca paść i czołgać się nią ku bramie śmierci i tutaj odbyć u tych „przeklęto - świętych" wrót swoją pielgrzymkę jubileuszową .

*

Idziemy topolową drogą ku bramie. Kiedyś znajdowała się na niej wieżyca ze sterczącymi z niej lufami karabinów maszynowych, a pod nią zegar. Była tu jeszcze w roku ubiegłym. Dzisiaj pozostała po niej czerwona blizna dachówek na pozieleniałym dachu strażnicy. Nie wiem dlaczego żal mi, że ją zwalono, że usunięto zegar, licznik dachauowskich ofiar.

Za żelazną, kutą bramą rozciąga się plac apelowy. Niestety, wstępu broni amerykański strażnik. Obiekt wojskowy. Uderza mnie, że z żelaznej bramy obozu dachauowskiego wypiłowano jedyny w swoim rodzaju napis, jaki ją zdobił, a brzmiący: „*Arbeit macht frei*". — Kto go wypiłował?... Dlaczego? ...Trudno uwierzyć, że te kilkanaście metalowych liter potrzebne było jako szmelc na nowe armaty. Jeżeli jednak zabrał je jaki gorliwy zbieracz osobliwości, to ja pierwszy — jako stary obywatel obozu w Dachau i jego prawny współwłaściciel — wnoszę najsłuszniejszą pretensję o ich zwrot.

*

Od głównej strażnicy, noszącej kiedyś nazwę „*Jourhaus*", skręcamy w lewo, ciągnącą się wzdłuż rzeczki *Amper* topolową drogą ku krematorium.

Z niej nigdy nie było powrotu. Wożono nią codziennie zmarłych, pędzono grupy przerażonych do komór gazowych. Droga przerażenia i zwierzęcego strachu.

Po prawej ręce, wzdłuż rzeczki płot wysokiego napięcia, zasieki, wieże, bunkry, a za nimi szczyty baraków obozu.

Przez wyłom w murze ogrodzenia krematoryjnego cmentarzyska wkraczamy na teren krematorium. Nieco dalej podobna dziura, w której tkwiła kiedyś — za czasów esmańskich — brama. Dzisiaj po niej ani śladu. Każdy i wszystko ma wolny wstęp na tę męczeńską ziemię — psy także, gdyż żadnego ze związków kacetowskich nie stać na ufundowanie bramy, która strzegłaby to krwią zroszone miejsce przed zbeszczeszczeniem Wystawiono — owszem — u wejścia skromną tablicę z napisem oznajmiającym nieśmiało, że miejsce to jest terenem kaźni i popielenia tysięcy ofiar, jednak tablica stoi tak ukryta między zielenią, że można jej zupełnie nie zauważyć.

W głębi cmentarzyska oba krematoria — stare i nowe — potężne, z wielkim kominem sterczącym w niebo. Oba równo zaniedbane, robią raczej wrażenie pustych piekarń niż krematoriów. Pootwierane na oścież drzwi i okna, zardzewiałe zawiasy, zasnute pajęczyną kąciki ram okiennych wskazują, że nie zamyka się ich nigdy. Dzień i noc, w lecie i zimie stoją sobie otworem, a we wnętrzach gospodaruje wiatr, wilgoć... Czyżby komuś zależało, by krematoria te jak najprędzej zniszczały?...

Chyba jednego „należy żałować", a mianowicie, że polscy księża, którzy budowali gmach nowego krematorium, budowali zbyt solidnie i że gmach ten mimo wszystko przetrwa jeszcze lata, o ile... o ile praktyczni ludzie, wykorzystując „Lebensraum", nie zamienią go na jakąś fabryczkę, warsztat czy nawet lokal...

Wielki ten i ponury gmach stoi pusty. Prócz trzech pieców krematoryjnych nie pozostało w nim nic. Na ścianie sali, gdzie stoją piece zawieszono kiedyś kilka wianuszków. Wisi to dzisiaj zeschnięte, zapylone, zrudziałe, jak ruszta pieców żarte rdzą zaniedbania.

Jedno tylko zdobi ściany sal krematoryjnych, a mianowicie tysiące napisów smarowanych po ścianach ołówkiem.

Czego i kogo tam nie ma. Napisy we wszystkich językach świata, napisy dowcipne, owszem, humorystyczne — nie brak pośród nich sentencyj i nazwisk polskich — a jakże — lecz już całkiem makabryczne wywołuje wrażenie napis w sali, gdzie jeszcze w dniu uwolnienia Dachau leżał na kilka metrów wysoki stos trupów, po którym pozostał na ścianach rdzawo - zielony ślad, a gdzie jakaś para zakochanych wymalowała dwa połączone serca z monogramami naprawdę pomysłowych kochanków. Br... Też wybrali sobie miejsce na uwiecznienie swej płomiennej miłości. No tak — ludzie są ludźmi i tylko ludźmi.

*

Jak już wspomniałem, sale są zupełnie puste. Żadnego sprzętu, żadnej tablicy, żadnego wykresu, żadnego obrazu.

A przecież jeszcze rok temu było tam dość sporo tego. Rok temu było w jednej z sal skromne muzeum. Nie był to cud ani pomysłowości ani wykonania — raczej prymityw wykonany ręką byłego więźnia, zawsze jednak dawał zwiedzającemu pojęcie o tym, czym był kiedyś obóz w Dachau. Dzisiaj wszystko zniknęło.

Zwiedzając je w ubiegłym roku, miałem podejrzenie, że zanosi się na to. Były już wówczas symptomy zapowiadające, a raczej wskazujące, że eksponaty te są komuś niewygodne.

Np. Zdziwiło mnie już wówczas ogromnie, dlaczego kukła esmana, bijącego pałką więźnia miała odprute wszelkie dystynkcje, wskazujące, że to kat esmański. Zwiedzający muzeum, patrząc na pałczastego mołojca w zielonym mundurze — nie mógł zorientować się, kto zacz, tym bardziej, że przecież pod koniec, gdy zabrakło w Trzeciej Rzeszy pasiastych, więziennych mundurów, niejeden z więźniów nosił właśnie podobny, pozbawiony dystynkcji i guzików wojskowych zielony mundur. Na szczęście ustrzeliłem już w roku ubiegłym te eksponaty, i fotografie są najlepszymi dokumentami, popierającymi me domysły. —

*

Pod murem, otaczającym krematoryjne cmentarzysko, w miejscu gdzie dokonywano masowych egzekucji, usypano maleńki kopczyk z zatkniętą na froncie tablicą, głoszącą, że jest to miejsce kaźni wielu, wielu tysięcy. Podobna tablica stoi na masowej ,w rogu cmentarzyska umieszczonej mogile.

Idący ścieżką zupełnie nie zauważy, że za ciągnącym się wzdłuż ścieżki wałem, umieszczono — nad wykopanym w ziemi rowem — drewnianą kratę. Jest to miejsce rozstrzeliwań przez t. zw. strzał w kark. Na kracie tej klękały ofiary i w tej pozycji czekały na moment śmierci, zadanej z tyłu. Mniejsza o to, że krata ta zupełnie jest niewidoczna od strony ścieżki. Ciekawi mnie jednak jedno: jak długo wytrwa jeszcze i ta i tak już przez szereg lat dobrze zmurszała krata?

Przyznać trzeba, że przy każdym z pamiątkowych miejsc zasadzono kilka kwiatków ,że widać tam i ślad pracy i pewnej pieczołowitości, jednak wszystko to razem ma charakter tak bardzo „wsiowy", tak sentymentalnie babski, tak niestylowy, że robi raczej wrażenie dziecięcego ogródeczka z posadzonymi babeczkami z piasku, który zmyje pierwszy deszcz. Czyżby tych tysięcy byłych więźniów Dachau nie stać było — poza jednym pomnikiem i kilku skromnymi tabliczkami — na nic więcej?

Dachau to własność nie niemiecka, to własność międzynarodowa, między - człowiecza. To też dziwić się należy, że żaden z narodowych związków nie zdobył się na roztoczenie nad tymi pamiątkami opieki. Należnej opieki!

Czyż nie należałoby stworzyć z całego placu, okalającego krematorium, cmentarza? Wszak tam każdy cal ziemi przesiąknięty krwią męczenników. Tymczasem — o wstydzie — nawet krzyża tam nie umieszczono!

„Zdejm obuwie, bo ziemia ta świętą jest"... Tymczasem zajeżdżają tam samochody ciekawych, włażą przez dziury w murze psy... Smutne miejsce... naprawdę smutne.

*

W ogrodzeniu dachauowskiego krematorium stoi grupa świerków. Najpotężniejszy z nich, stojący w środku, posiada na wysokości około dwu i pół metra nad ziemią potężny konar. Natura sama stworzyła doskonałą szubienicę.

Świerk ten liczy chyba ze sto lat. Przez sto lat patrzył na niejedno zdarzenie. Przez sto lat słyszał niejedno, aż wreszcie w roku 1939 wolnego syna alpejskiej flory pohańbiono po raz pierwszy, zamieniając na drzewo szubieniczne.

Przez lata pełnił smutny obowiązek. Przez lata dławił go dym snujący się z krematoryjnego komina. Wreszcie nadszedł dzień, gdy zdjęto z niego ostatniego skazańca, gdy ostatni raz zakrztusił się krematoryjnym dymem.

Świerk - szubienica odetchnął. Przestał być drzewem śmierci. Stał potężny, poczerniały, wyższy o głowę między gromadą rówieśników, cierpiąc za niepopełnione winy, stał cichy, zadumany, ze sromotą na starczym, sponiewieranym czole, aż oto w roku bieżącym, gdy na wiosnę przyroda zaczęła budzić się z zimowego snu, począł blednąć, posypało się jak łzy igliwie, a gdy w sąsiednim parku drzewa obsypało kwiecie, stary świerk szubienicznik skończył wiekowy żywot. Stoi jeszcze w kępie zieleni, stoi zrudziały, potężny, kościsty szkielet świerka-szubienicy, który zaledwie o pięć lat przeżył tysiące ofiar, jakie konały kiedyś w objęciu jego konarów.

Jak sobie wytłumaczyć nagłe uschnięcie świerka - szubienicy?...— Być może, że to tylko przypadek... Być może, że działanie jakichś sił nieznanych człowiekowi... Być może, że to nowa „zbrodnia", dokonana na ostatnim już świadku... Kto z nas wie?...

*

Opuściwszy krematorium okrężną drogą dostajemy się do dawnego Dachau. Mur otaczający go od strony osławionych „plantacji", prawie nie istnieje. Wieże zwalone. Zasieki, druty, sławna betonowa fosa dachauowska, wszystko to zniknęło z powierzchni ziemi i przeszło do historii.

Jedną połowę placu apelowego odgrodzono do dyspozycji armii amerykańskiej. Na drugiej wystawiono niemiecką fabrykę damskich pończoch. Bloki obozu odrestaurowano, wnętrza przebudowano kosztem milionów D.M. na ładne, małopokoikowe mieszkania dla „flüchtlingów".

Zajrzawszy do wnętrza ładnie urządzonych mieszkań, ani byś nie przypuścił, że były to kiedyś zatyfusione i zawszone nory, gdzie wegetowały tysiące. Dzisiaj przeciętny blok w Dachau liczy czterdziestu mieszkańców, podczas gdy ten sam blok w roku 1945 mieścił do dwu tysięcy więźniów.

Przed blokami bawią się wesoło dzieciaczki, słychać śmiechy, rozmowy, przez uchylone okna płyną z głośników melodie. Obóz śmierci został zamieniony na wcale ładną wioskę czy małe miasteczko. Jest i dworzec autobusowy, jest kino, lokale rozrywkowe, słowem wszystko, co potrzebne normalnemu człowiekowi do normalnego życia.

W szczytach bloków reklamy. Tu zachwala się ciastka z kremem — tam ciepłą kiełbaskę z kapustą. Miejscowy fotograf reklamuje swe prace — akuszerka wywiesiła swój szyld. Życie ma swoje prawa. Tam, gdzie kiedyś ginęły tysiące, tam gdzie przeprowadzano zbrodnicze doświadczenia, zapładniając sztucznie matki, dzisiaj inne matki potrzebują opieki akuszerki. Takie to proste — a tamto tak okropne.

*

W bloku piątym, dzisiaj przemianowanym na 10 (wogóle numeracja bloków została zmieniona, najprawdopodobniej celowo i z punktu widzenia i odczucia obecnych mieszkańców zupełnie słusznie), a więc w sławnym bloku piątym, gdzie przeprowadzano potworne doświadczenia lotnicze, pakując ludzi do basenów z zamrożoną wodą, obecnie urządzono wcale ładną łazienkę publiczną, gdzie „za jedne 20 fenigów" można ochłodzić kąpielą czy natryskiem rozprażone ciało. Obecny przedsiębiorca wcale nie potrzebował wykazać wiele sprytu. Wszak urządzenia i instalacje już były gotowe... (Tak się obawiam, by nie znalazł się inny spryciarz i nie wydzierżawił krematorium na piekarnię!... Wszystko możliwe).

W tak zwanej „komorze śmierci", znajdującej się w szczycie baraku szpitalnego, tam gdzie składano zmarłych przed wywiezieniem do krematorium, urządził sobie warsztat miejscowy stolarz, strużący kołyski. Nawet kafli nie wyrwano ze ścian... W przylegającym zaś do placu apelowego bloku urządzono wcale ładnie utrzymany lokal — „Gaststätte". We wnętrzu bufet, bilard, stoliki, dźwięki płynącej z głośnika melodii, stuk kul bilardowych, śmiechy, a przed oknami rząd samochodów osobowych. W tym miejscu składano — w podobnie skwarne południa, gdy komendy ruszały do popołudniowej pracy — stos zmarłych i zemdlonych...

Siedzę przy jednym ze stolików zapatrzony w okno, przed którym lat temu... E... zostawmy. I tak tego nikt nie odczuje. Gorzka jest ta cytrynówka i szkliwo zgrzyta o niewybite zęby... Wszystko przeszło... minęło... a tylko z zakamarków wyglądają duchy tamtych... a tylko w sercu został zapieczony ból...

I wówczas zrodziło się we mnie postanowienie: Ostatni raz jestem w Dachau! Nie zajrzę tutaj już nigdy.

Ostatecznie nie mam pretensji, że przy dzisiejszym braku mieszkań zamieniono obóz na wioskę dla biednych „Flüchtlingów". — Współczuję jednak im samym, że rząd bawarski wtłoczył tych ludzi w takie miejsce. Wydaje mi się ,że kosztem kilku milionów DM, jakie wpakowano w przebudowę obozu w Dachau, można było dla tych ludzi znaleźć inne miejsce na osiedlenie.

Mam natomiast pretensję o zaniedbane krematorium i otaczające go cmentarzysko, ale wyraźnie już krzyczę przeciw zamachowi, jakiego dokonano w tych miesiącach w Dachau przeciw najświętszym uczuciom wszystkich, już nie tylko katolickich ,ale chrześcijańskich byłych więźniów.

W kilka dni po uwolnieniu przez armię amerykańską zabrali się więźniowie Polacy do budowy olbrzymiego krzyża, który miał stanąć w obozie jako symbol pokonanej przemocy. I rzeczywiście stanął na placu apelowym olbrzymi, piętnastometrowej wysokości, nagi, sosnowy krzyż, rozpościerając swe potężne ramiona nad tym krwią i potem śmiertelnym zlanym placem i ziemią. Stał tak przez lat przeszło cztery. Stał do roku ubiegłego, gdym miał sposobność pod nim zmówić za zmarłych pacierze. Niestety nie ma go dzisiaj. Krzyż usunięto. Krzyż dachauowski zniknął.

Już nie żal, ale rozpacz bierze człowieka, gdy patrzy jak na olbrzymiej płachcie obozowej kuchni i magazynów pozostał wielkimi literami pisany napis o sparodiowanym pojęciu esmańskiej „Freiheit" — a zniknął Chrystusowy krzyż symbol nie tylko wyzwolonego Dachau, ale prawdziwej wolności. —

Jako były długoletni więzień obozu w Dachau w imieniu tysięcy wyzwolonych kolegów i dziesiątek tysięcy zamordowanych zakładam najuroczystszy protest przeciw temu faktowi. Tysiące krzyżów obalono na ziemi polskiej, znakiem krzyża św. nie wolno nam było znaczyć siebie i odchodzących w zaświaty męczenników, lecz dopiero dzisiaj — już wyzwolonym — wyrządzono największą z krzywd, wyrzucając na śmietnisko symbol ideałów, za które na tej ziemi padły setki tysięcy. W imieniu tamtych domagam się publicznego wyjaśnienia tej sprawy. Krzyż musi na nowo stanąć jako jedyny ostatni świadek potworności bezbożnego nazizmu na ziemi dachauowskiej.

*

Opuszczamy Dachau. W drodze mijamy setki samochodów, sunących ku Oberammergau. Rzadko który skręca na drogę do Dachau. Bo i po co? Wszak tam już dzisiaj niczego nie znajdziesz, a za rok znikną ostatnie szczątki, świadkowie tyranii. Wnet cała potworna prawda o Dachau i niemieckich obozach koncentracyjnych stanie się bajką i tylko bajką...

Setki wozów mkną do Oberammergau, zakątka kultury ducha i głębokich przeżyć, reżyserowanych przez byłych partyjników.

Na Dachau pada cień zapomnienia. —

Tysiące obcokrajowców wracać będą z Oberammergau, nie zdając sobie sprawy z tego, że o miedzę leży prawdziwa arena pasyjna, zroszona krwią męczenników, którym z nad grobów wyrwano nawet krzyż.

*

Gdyby po przeczytaniu tego artykułu ktokolwiek odniósł wrażenie, że powoduje mną nienawiść do narodu niemieckiego, tego odsyłam do tomu mych wspomnień z obozów p. t. „Klechy", czy wreszcie do recenzji omawiającej tę książkę.

Nadal daleki jestem od nienawiści, jednak nie mogę przemilczeć faktów, które już nie w hitlerowskich ale w demokratycznych Niemczech są groźnymi symptomami na przyszłość. (*„Ostatnie wiadomości", nr. 27/84*).

X. HENRYK MALAK

---

*) *Mec. Władysław Chwiałkowski jest najgłośniejszym na terenie okupacji amerykańskiej obrońcą polskim z prawem występowania przed sądami niemieckimi. Jego ofiarnej działalności, znajomości niemieckiego i angielskiego i doskonałemu przygotowaniu prawniczemu ogromna ilość Polaków zawdzięcza skuteczną obronę, a bardzo wielu ocalenie życia. Mec. Chwiałkowski jest tym, który poruszył u rządu Niemiec sprawę odszkodowań dla ofiar obozów koncentracyjnych. (Przyp. RED.)*

NOWE FILMY

ANGIELSKIE OGÓRKI czyli
„LONDYN W NOCY“
(„Nigth and the City“)
„NIE CHCĘ SMUTNYCH PIOSENEK“ („No Sad Songs for Me“)
„WYBITNA KOBIETA“
(„A Woman of Distinction“)

ZNACIE angielskie ogórki: olbrzymie, długie na pół metra, nie bardzo smaczne i drogie. Okazuje się, że angielski sezon ogórkowy w kinach (a zapewne i w teatrach) w podobny sposób różni się od kontynentalnej kanikuły, jak zacny europejski ogórek od angielskiego potwora, nadużywającego nazwy tej wspaniałej jarzyny: jest znacznie dłuższy i zupełnie wyzuty z treści. Rozpacz, po prostu rozpacz — przychodząca za wcześnie (bo już w czerwcu), odchodząca za późno: gdzieś w połowie września.

Ogórki, o których muszę pisać, są co prawda amerykańskiej hodowli, ale podano je tutaj w najlepszych kinach, więc na jedno wychodzi.

Wytwórnia „20th Century Fox“, skuszona powodzeniem filmu o życiu Nowego Yorku „The Naked City“ (film ten uchodzi wśród krytyków za klasyczny w swoim rodzaju) powierzyła temu samemu reżyserowi, p. Jules Dassin nakręcenie obrazu nocnego Londynu. Zabrakło jednak producenta nowojorskiego filmu, gdyż Mark Hellinger zmarł w międzyczasie; zastąpił go p. Samuel G. Engel. Film nakręcono w ramach umowy brytyjsko - amerykańskiej, przewidującej produkcję niektórych filmów na tej Wyspie za amerykańskie dolary i przy udziale także angielskich artystów. Bohaterem jest super - spiv, tygrys nocnych klubów, poszukujący łatwych i wielkich zarobków z pominięciem, rzecz jasna, wszelkich skrupułów etycznych (amerykański aktor Richard Widmark). W zamierzeniu miało to być zapewne tragedia wielkomiejskiego życia, pokazanie krętych dróg na nizinach naszej cywilizacji. Wyszedł mętny melodramat: daleki od realizmu, fałszywy w każdym niemal centymetrze taśmy filmowej, przesadzony w sztucznych efektach. Podziemie Londynu wygląda tu jak wspaniale zorganizowana, jednolitymi prawami rządzona społeczność, a policję i władze potraktowano prawie pobłażliwie i kpiąco. Taki Londyn istnieje tylko w wyobraźni amerykańskiego reżysera i producenta (zgodnie z duchem języka polskiego tzw. producenta należy nazywać dyrektorem administracyjnym, albo po prostu dyrektorem i takiej terminologii będę używał na przyszłość). Jedyną zaletą filmu jest doskonała gra Widmarka, któremu przydano do pomocy Amerykankę Gene Tierney (dziewczyna kochająca spiva), Angielkę Googie Withers (gwiazda wchodząca już na zachodnią część nieboskłonu filmowego) i kilka innych sił aktorskich oraz polskiego zapaśnika Zbyszka Cyganiewicza, który odrobił zwycięską walkę z młodszym zapaśnikiem (Mike Mazurki), ale potem umarł z przemęczenia. Super-spiv zostaje pod koniec filmu utopiony w Tamizie.

„N i e c h c ę s m u t n y c h p i o s e n e k“ — to film amerykańskiej wytwórni Columbia: absolutnie pogański, prawie nieludzki. Inteligentna Mary Scott (Margaret Sullavan, świetna aktorka, która tu pokazała wielką klasę w ramach bezdusznego scenariusza), młoda małżonka i matka miłej córeczki dowiaduje się od lekarza, że ma raka i będzie żyć jeszcze tylko sześć miesięcy (oto „realizm“ amerykański: który lekarz udzieli takiej wiadomości pacjentce?). Z początku jest bardzo przejęta, ale potem godzi się z losem i postanawia ostatnie miesiące przeżyć beztrosko i wesoło. Ba, poświęca się nawet: widząc, że mąż interesuje się swą pomocnicą na robotach inżynierskich Polly (Natalie Wood, Czeszka, albo Chorwatka), ułatwia im zbliżenie, wykombinowawszy sobie, jak to będzie pięknie, gdy potem się pobiorą i zapewnią opiekę córeczce. Ale Polly jest także „szlachetna“ i aranżuje parze małżeńskiej (męską połową jest dobry aktor Wendell Corey) drugi miesiąc miodowy w Meksyku, po którym p. Scott (ciągle piękna i wyglądająca zdrowo) zapewne umrze zgodnie z wyrokiem lekarza, ale już poza ekranem, aby nie wyciskać łez publiczce. Przez cały ten czas Mrs. Scott ani jednym gestem, ani jednym słowem nie zdradza najlżejszego zainteresowania, co będzie z n i ą po owych ostatnich, „dzielnie przeżytych“ sześciu miesiącach. Próżnia metafizyczna, próżnia religijna, świat inteligentnych zwierząt, wyreżyserowany przez niejakiego Rudolpha Mate.

I wreszcie trzeci ogórek, także z ogrodu „Columbia Pictures“: „W y b i t n a k o b i e t a“. Jest nią bardzo zdolna aktorka Rosalind Russel, która już nieskończoną ilość razy grała niezwykłe i samodzielne panie, wpadające ostatecznie w sidła Amora. Tu jest dziekanką jakiegoś College'u i gdy przybywa do Stanów młody i piękny astronom angielski Alec Stevenson (Ray Milland), panna Russel ani myśli mu ulec: wali go po łbie torebką skórzaną pokaźnych rozmiarów, wyrzuca z domu etc. Reporterzy fotografują to wszystko, aby zareklamować odczyty uczonego, a tata panny Russel robi intrygi, aby para się zeszła. Oczywiście para się schodzi po wielu perypetiach, wśród których nie brakuje: jazdy profesora na rozdzielonym na dwie części, ale utrzymującym go (wbrew prawom fizyki) rowerze, smarowania wybitnej kobiety przez wybitnego uczonego czarnym błotem, które ma chronić od zatrucia tajemniczą rośliną, porwania tejże kobiety (dziekanki) przez elektryczny wentylator i tym podobnych kawałków. Gdy dobra sława panny Russel (która zaadoptowała kiedyś dziecko) jest zagrożona, zgłasza się wielkodusznie aż dwóch rzekomych ojców. Ostatecznie, rzecz jasna, dziekanka rezygnuje z posady i pada w ramiona gwiazdobadacza. Amerykańska bzdura, którą ostatecznie można strawić, bo reżyser E. Buzzell nadał jej przynajmniej jakie takie tempo. Lepiej jednak nie trawić tego ogórka, zwłaszcza, jeśli się ma trochę wrażliwsze poczucie humoru i jeśli robienie z życia bigosu absurdalnych tricków nie sprawia komuś radości.

„GORZKIE ŹRÓDŁA“

Dużo lepiej jednak iść na film „B i t t e r S p r i n g s“ („Gorzkie źródło“), który według systemu stopni szkolnych oceniam na 3+, choć z łatwością mógłby otrzymać ocenę celującą, gdyby nie potworne dłużyzny na początku (podróż pionierskiej rodziny australijskiej i wymachiwanie batami nad stadem owiec trwa równo pół godziny!). Jest to film brytyjskiej wytwórni Ealing Studios ze znanym komikiem Tommy Trinderem i aktorem charakterystycznym Chips Rafferty. Resztę obsady stanowią aktorki i aktorzy australijscy, przy czym Jean Blue wyróżnia się dobrą grą rodzajową, a młodziutka i ładna Nonnie Piper dodaje wdzięku bardzo męskiej, ale całkiem sensownej historii osadnictwa w pustynnych okolicach Australii (rok 1900) i układania się stosunków między białymi i Papuasami. Tych ostatnich pokazano w sposób bardzo ciekawy: w tańcach wojennych, na podchodach i polowaniach, w utarczkach z kolonistami i w czasie narad z wodzami. Doskonałe zdjęcia kangurów i bodaj pierwsze na filmie rzucanie bumerangiem uzupełniają ten dobry obraz nie pozbawiony głębszego ludzkiego wydźwięku. Dyskretnie podany morał głosi, że tylko kompromis i wzajemne porozumienie między autochtonami i kolonizatorami mogą być podstawą możliwego współżycia — gwałt i mordowanie kolorowych potępiono tu niedwuznacznie. Reżyserował Ralph Smart, który ma w swym dorobku już kilka innych, odkrywczych filmów australijskich. **(sp.)**

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

KOŚCIOŁY W SŁOWACJI DLA PRAWOSŁAWNYCH

Dwa kościoły katolickie w Bratysławie, stolicy Słowacji, mają być wkrótce przekazane gminie rosyjsko-prawosławnej, która zorganizowała się w mieście i liczy niecały tuzin członków!

Rosja Sowiecka nawet i w swej polityce wyznaniowej zaczyna wchodzić w ślady Rosji carskiej.

MEKSYK ZWRACA SZKOŁY KATOLICKIE

Powrotna fala tolerancji religijnej w Meksyku, po okresie straszliwych prześladowań Kościoła katolickiego, jakie ten kraj przeżył w okresie rządu prezydenta Callesa w latach dwudziestych, zaznacza się na wszystkich polach życia, pozwalając na nowe, coraz bujniejsze i jawne rozkwitanie życia religijnego.

Świeżo, rząd meksykański zwrócił Ojcom Salezjanom dwa skonfiskowane przez Callesa budynki słynnego kolegium. Na uroczystości zwrotu budynków obecni byli dawni wychowankowie kolegium, w liczbie tysiąca, oraz Wizytator Apostolski w Meksyku, J. E. ks. arcybiskup Wilhelm Piani, który przed laty był w tym kolegium profesorem.

KONGRES EUCHARYSTYCZNY NA ZŁOTYM WYBRZEŻU

Nowozorganizowana hierarchia katolicka w Brytyjskiej Afryce Zachodniej postanowiła upamiętnić moment utrwalenia tam organizacji kościelnej przez urządzenie w dniach 19 — 26 lutego roku przyszłego Kongresu Eucharystycznego.

Kongres odbędzie się w mieście Kumasi, jednej z nowokreowanych stolic biskupich. Arcybiskupi i biskupi zachodnioafrykańscy spodziewają się, że na Kongres do Kumasi przybędzie osobny legat papieski, oraz przybędą grupy uczestników z Wielk. Brytanii i ze Stanów Zjednoczonych.

TRUDNOŚCI DUSZPASTERSKIE W GUATEMALI

Pisaliśmy już parokrotnie o trudnościach zapewnienia należytej opieki duszpasterskiej katolikom w Ameryce Łacińskiej w związku z katastrofalnym tam brakiem księży. Utarła się tam tradycja, że miejscowa ludność nie kształci swych synów na księży, a księża przyjeżdżają z Hiszpanii. Dzisiaj jednak Hiszpania dostatecznej liczby księży do krajów zamorskich nie dostarcza. Zaczęto od pewnego czasu kształcić księży miejscowych — ale jest ich wciąż jeszcze zbyt mało. A wieloletnie rządy masońskie w republikach hiszpańsko-amerykańskich — oderwanie się krajów Ameryki Południowej i Środkowej od Hiszpanii było dziełem masonerii, — obniżyły poziom życia religijnego tych krajów, zdezorganizowały Kościół i wyjałowiły glebę, z której czerpać można miejscowe powołania.

Republika Guatemala liczy 3 miliony mieszkańców (z pochodzenia Hiszpanów, Indian i mieszańców, tzw. Ladinos), którzy wszyscy są katolikami. Ale ma mniej, niż 130 księży, — miejscowych i cudzoziemców. Biorąc rzeczy w liczebnej proporcji, jest to tak, jak by Polska miała dzisiaj około 700 księży. Ma ich ona w rzeczywistości około 13.000, a jest przecież rzeczą wiadomą, że i Polska ma księży za mało.

Kłopoty duszpasterskie Guatemali sprawiają, że ostatnio zaczęto tam sprowadzać do pomocy misjonarzy ze Stanów Zjednoczonych.

Jeden z takich misjonarzy, Ojciec Paul J. Sommer z Bostonu, ze Zgromadzenia Ojców Maryknoll, pracujący obecnie w miasteczku Jacaltenango w Guatemali, opowiada, że zdarza mu się czasem zajechać do takiej wsi, w której ostatni raz ksiądz był więcej niż rok temu i w której trzeba za jednym zamachem udzielić 7 ślubów i ochrzcić 103 dzieci.

Można sobie wyobrazić, jak w takiej wsi, pozbawionej całymi latami mszy i sakramentów, wiara wystyga.

NOWI BISKUPI POLSCY W U.S.A.

Ojciec św. Pius XII mianował biskupa Stefana Woźnickiego, dotychczasowego sufragana w Detroit, ordynariuszem diecezji Saginaw, Michigan, i równocześnie ks. prałata Aleksandra Zaleskiego, wicekanclerza archidiecezji detroickiej, sufraganem tejże archidiecezji. W ten sposób liczba biskupów amerykańskich polskiego pochodzenia podniosła się do sześciu.

UZDROWIENIA W LOURDES

W Lourdes przewodniczący komisji lekarskiej podał do wiadomości, że w latach 1947/48 stwierdzono 11 uzdrowień, nie dających się wyjaśnić żadnymi naturalnymi przyczynami.

KLER TUBYLCZY W AFRYCE

Afryka ma obecnie ponad 500 księży tubylczych. Przyszłość zapowiada się pomyślnie, ponieważ na czarnym lądzie znajdują się 44 wielkie seminaria duchowne. Największe z nich w Nyakibanda (Ruanda) ma 157 kleryków. Lecz biskupi afrykańscy nie zapominają również o wychowaniu elity świeckiej. Od kilku lat organizują w Roma (w kraju Basutów) uniwersytet katolicki dla Murzynów. Ostatnio drugi taki uniwersytet powstał w Kongo belgijskim w Kisanto, pod patronatem profesorów uniwersytetu z Lowanium (Louvain).

SOWIECKIE PRAWOSŁAWIE NA WĘGRZECH

Patriarcha moskiewski rozciągnął swą jurysdykcję, „przejściowo“, na Węgry, mianując swym namiestnikiem i głową soboru Cerkwi węgierskiej Jana Kopolovizsa. Siedzibą nowego dygnitarza jest Budapeszt. — Dotychczas Cerkiew węgierska podlegała patriarsze w Konstantynopolu, jednak w ostatnich latach pozbawiona była kierownika. Przed ostatnią wojną na Węgrzech było, wg. oficjalnych statystyk, 39.839 prawosławnych, głównie w okolicach graniczących z Rusią Podkarpacką i z Rumunią.

KATOLICY W SKANDYNAWII

W trzech krajach skandynawskich, liczących łącznie 16 milionów mieszkańców, jest tylko 35.000 ktolików. Głównym ośrodkiem życia katolickiego jest Kopenhaga, licząca 9.000 katolików.

NIEMIECKA MŁODZIEŻ WIERZY W BOGA

Niemiecki Instytut demoskopii w Allensbach przeprowadził ciekawą ankietę, zapytując Niemców różnych zawodów i zainteresowań, czy wierzą w Boga. 78% zapytanych odpowiedziało „tak“, 6% innych dało odpowiedź twierdzącą z dodatkiem „nie w znaczeniu kościelnym“. Tylko 6% oświadczyło zdecydowanie „nie“. Poza tym Instytut stwierdził, że w Szlezwigu-Holsztynie, Hamburgu i Bremie odpowiedź przeczącą dało 13%, podczas gdy w Hesji tylko 2%. Uwagi godne jest, że tylko 5% „Flüchtlingów“ wypowiedziało się przecząco, co jeden z dzienników niemieckich komentuje przysłowiem „Not lehrt beten“ („Jak trwoga to do Boga“).

MNIEJSZOŚĆ KATOLICKA W BERLINIE

W Berlinie jest obecnie 83 kościoły i 118 kaplic. W diecezji berlińskiej poza miastem jest 70 kościołów i 54 kaplice. W całej diecezji jest 657.642 katolików, z czego 422.000 mieszka w Berlinie. Ilość księży wynosi 473.

DUCHOWIEŃSTWO KATOLICKIE W JAPONII

63% księży, zakonników i zakonnic w Japonii jest Japończykami. Ogółem jest 740 księży, 2.580 zakonnic i 197 zakonników. Nie-Japończycy należą do 32 narodowości. Najliczniejsi są misjonarze niemieccy — 221, po nich Kanadyjczycy (205), Irlandczycy (54) i kilku Anglików.

LISTY DO REDAKCJI

W sprawie sierot polskich

Szanowny Panie Redaktorze!

Jestem wstrząśnięty wiadomością, zawartą w lipcowym biuletynie Instytutu Akcji Katolickiej w Londynie, że w tych dniach IRO przestaje łożyć na utrzymanie kilku tysięcy sierot polskich w Niemczech.

Co to ma znaczyć? Czy to, że sieroty te będą oddane pod opiekę władz niemieckich? Przecież to prosta droga do ich germanizacji! — Przed laty zabranie dzieci zamojskich przez Niemców w celu germanizacji wstrząsnęło całym polskim narodem. Czy teraz mamy parę tysięcy polskich dzieci oddać Niemcom sami, dobrowolnie?

Dlaczego opinia polska na emigracji dowiaduje się o tym wstrząsającym fakcie tak późno?

Miejmy jednak nadzieję, że jeszcze za późno nie jest. Instytut Akcji Katolickiej wzywa Polaków na emigracji, by po jednym lub kilkoro z tych dzieci wzięli na wychowanie i adoptowali.

To jest jedyna droga załatwienia sprawy. Byłoby niesłychanym skandalem, gdybyśmy się na to załatwienie nie zdobyli.

Wzięcie dziecka na wychowanie jest pewnego rodzaju poświęceniem. Ale są poświęcenia, od których uchylać się nie wolno. Tych parę tysięcy polskich dzieci znaleźć przybranych rodziców — m u s i.

To jest jedyna odpowiedź, jaką dać możemy na ogłoszoną wiadomość.

Z poważaniem
Jędrzej Giertych
16, Belmont Rd., London N. 15.

Konkurs teatralny

Podobnie jak w roku ubiegłym Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego rozpisuje konkurs teatralny w tej myśli, aby zachęcić sceny polskie, spełniające na emigracji doniosłą służbę społeczną, do starań o jak najwyższy poziom artystyczny przedstawień. Konkurs przewiduje następujące nagrody:

1. Za najlepszą sztukę współczesnego autora polskiego przebywającego poza krajem (do podziału między autora i kierownictwo, które jego sztukę wystawi).
2. Za najlepszą reżyserię (inscenizację sztuki).
3. Za najlepszą kreację aktorską.
4. Za najlepszą grę zespołową (do podziału po równej części między członków nagrodzonego zespołu).
5. Za najlepszą oprawę sceniczną (dekoracje).

Wszystkie nagrody zostaną przyznane. Jury może przyznać wyróżnienia i nagrody dodatkowe, zadeklarowane przez inne instytucje społeczne.

Konkurs obejmuje sztuki wystawione między 1 maja a 1 grudnia 1950 roku i zostanie rozstrzygnięty 15 grudnia 1950 roku.

Jury konkursu stanowią: p. Mila Kamińska, ks. Tadeusz Kirschke, dr Zygmunt Nowakowski, dr Ignacy Wieniewski, dr Tymon Terlecki.

Po bliższe informacje należy zgłaszać się do TPTP, 45. Gloucester Rd., London, S. W. 7.

NA MARGINESIE

KIEDY SIĘ ZATRZYMA?

ANTHONY EDEN opowiedział w Izbie Gmin nieznaną i ciekawą rozmowę jaką miał w Moskwie ze Stalinem. Stalin krytykował Hitlera mówiąc, że jego największym błędem było, iż nie umiał się w porę zatrzymać. Zapewniał, że takiego błędu sam by nie popełnił. „Wiedziałbym, powiedział, kiedy się zatrzymać“. Z komentarzy, którymi p. Eden tę rozmowę opatrzył, widać, że p. Eden wziął słowa Stalina dosłownie, co dowodzi ,że dotąd nie rozumie rosyjskiego komunizmu. Pojęcia zatrzymania się na stałe myśl komunistyczna nie dopuszcza, a granicą posuwania się naprzód jest podbój świata.

Słowa powiedziane przez Stalina trzeba zestawić ze słowami Lenina: „Nie wystarcza komunistom wiedzieć dokąd iść naprzód. Muszą oni również wiedzieć dokąd się cofać“. Zatrzymanie się w pojęciu Stalina otwiera etap dla nowego marszu naprzód. Jak to Stalin robi, wskazuje droga, jaką przebył od swej gawędy z p. Edenem. Widzieliśmy, że umie też się zatrzymać. Zatrzymał się w Berlinie, Turcji, Persji. Jedno jest pewne, że gdyby znalazł się nad Kanałem, to napewno na tym by nie poprzestał.

CZERWONY SZTANDAR

LORD Vansittart w „East Europe and Soviet Russia“ pisze, że w krajach żyjących dziś pod jarzmem „Killer Joe“ i jego bandy, Ludowe Demokracje są „Stowarzyszeniami Mordu“ odpowiednio zarejestrowanymi. Jeszcze niedawno używano w brytyjskiej prasie dobrodusznego miana „Wuja Józia“. Cóż się dopiero działo wcześniej na bankietach w Kujbyszewie? P. Churchill wznosił toasty obdarzając gospodarza przymiotnikiem „wszechpotężny“. Co zaś do Roosevelta, to dowiedziawszy się, jak opowiada w swych pamiętnikach jego syn, że nalewany szampan pochodził z własnych piwnic gospodarza, dał wznosząc kielich wyraz żartobliwemu marzeniu, by kiedyś, gdy już nie będzie prezydentem Stanów Zjednoczonych mógł stać się agentem dla sprzedaży w Ameryce szampana z winnic swego przyjaciela!

„Cordon Rouge“ od tego czasu dzięki skutkom tej dobrej komitywy opasało połowę kuli ziemskiej.

SZCZĘŚCIE I POTĘGA

FRANCOIS MAURIAC w „Figaro“ ma na myśli Stany Zjednoczone, gdy ostrzega, „że naród nie może być jednocześnie najszczęśliwszym i najpotężniejszym na świecie“. Dlaczego nie? Mógłby, gdyby nie miał w walce, która go czeka, do czynienia z drugim narodem, który potęgę zbudował na cierpieniach i wyzysku własnych obywateli, milionów niewolników i ujarzmionych innych narodów.

„Najszczęśliwszy naród“ dotąd nie rozumie, że nadzwyczajny swój dobrobyt zawdzięcza w znacznym stopniu skutkom dwóch wojen, które obniżyły poziom życia na świecie a w szczególności w tej Europie, która w bliskim starciu ma być dla niego przyczółkiem mostowym. Poziomy muszą dążyć do wyrównania przede wszystkim przez ofiary tych, których poziom jest wyższy. Czy kto chce, czy nie chce, tak będzie. Obniży się poziom szczęścia „najszczęśliwszych“, by zwalczyć niszczycielską siłę, zbudowaną na nieszczęściu.

Szalona koniunktura na aparaty telewizyjne musi się skończyć, gdy połowa ludzkości nie dojada.

X. Y. Z.

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze ŻYCIA w cytacie kursywą z Sołowiowa przed artykułem Wiesława Żylińskiego „Kościół rosyjski w służbie państwa“ — wiersz ostatni kursywy — zamiast W y d.(anie) III, powinno być Wyd. II; zamiast str. 1245, powinno być str. 124 - 5.

NOTATKI

NAGRODA „DZIENNIKA“

DNIA 12 b.m. „Dziennik Polski“ ogłosił przyznanie nagrody literackiej w wysokości £ 100, ufundowanej na 10-lecie tego wydawnictwa. Uchwała jury mówi: „w zrozumieniu, że działalność pisarską pojmować należy jako twórczość i jako organizację lub inspirację literacką — w uznananiu niespożytych zasług, położonych na tym polu w Kraju i na uchodźstwie (jury) jednogłośnie postanowiło przyznać (...) nagrodę **Mieczysławowi Grydzewskiemu**“.

M. Grydzewski, doskonały polski redaktor, prowadził przed wojną „Skamandra“, „Wiadomości Literackie“, „Pologne Littéraire“, w czasie wojny „Wiadomości Polskie“, obecnie zaś „Wiadomości“. Jest też kompilatorem kilku pysznych antologji.

Katolikowi trudno jest zachwycać się niepozbawionym tendencji eklektyzmem znakomitego redaktora, którego słynny liberalizm jest, prawdę mówiąc, tylko szczególnym przypadkiem jednostronności, jak każdy „liberalizm“. Bez żadnych jednak oporów należy przyznać, że zasługi tego humanisty, erudyty i człowieka rzadkiego dzisiaj oczytania tworzą żywotną kartę w dziejach polskiej kultury ostatnich lat trzydziestu. jakkolwiek wypadnie kiedyś uczciwie wyważony bilans strat i zysków tej działalności.

W osobie redaktora wyróżnione zostało także pismo, gratulujemy serdecznie. „Wiadomości“ od dłuższego czasu są pismem bardziej politycznym niż literackim. Mimo to jest to niemal jedyny przytułek twórczości artystycznej na emigracji. Że nie jest miary najwyższej, że nie jest w pełni zorientowany na świat dzisiejszy — to już nie wina ani pisma ani redaktora. Z pełności serca piszą pióra, żeby strawestować Ewangelię, a właśnie emigracja jak dotąd jest partykularzem, od pełności jak najdalszym. Ubocze podwórka. W międzyczasie dom runął, nowy jest w budowie, a w podwórkowym kącie wszystko po staremu.

W KRAJU O KOREI

BARDZO inteligentny i krytyczny Polak z Kraju, który w ostatnich trzech latach miał możność parokrotnie być zagranicą, powiedział do grupki Polaków emigrantów (było to w Paryżu):

— Chociaż po wyjeździe z kraju widzę inaczej naszą rzeczywistość, wiem z całą pewnością, że wróciwszy, po pewnym czasie znowu będę patrzał oczami komunistycznej propagandy. Nie ma od niej ucieczki. Leje się zewsząd. Jej terror jest przemożny. Nawet naszym gazetom komunistycznym nie wolno korzystać z ocenzurowanych wiadomości dziennika radiowego. Wolno im zamieszczać tylko wiadomości agencyjne.

Oto jak Polakom w kraju przedstawione są wypadki na Korei:

„25 czerwca armia marionetkowego rządu zdrajcy Li-Syn-Mana rozpoczęła ofensywę na północ od 38 równoleżnika. Dzielne oddziały wojsk pogranicznych odparły atak i w uporczywych walkach zatrzymały ofensywę armii Li-Syn-Mana. Rząd koreańskiej republiki Ludowo Demokratycznej po rozpatrzeniu sytuacji wydał rozkaz (...) armii ludowej, by przeszła do zdecydowanej kontrofensywy i rozgromiła nieprzyjaciela“. („Przekrój“ 16. 7. 1950).

JAKI JEST CZŁOWIEK „RADZIECKI“?

DOWIADUJEMY się o tym od Stefana Żółkiewskiego z artykułu „Po śladach pisarzy“ (Przekrój, nr. 275):

„I dziecko i dorosły człowiek radziecki jest przeciw prześladowaniu — po stronie prześladowanych. Tego nauczył ich socjalizm. Tego nauczyła ich również literatura socjalistycznego państwa“.

„W życiu kulturalnym ZSRR przebija na każdym kroku, iż naród radziecki, to ludzie miłujący pokój, szanujący niezawisłość każdego narodu, ludzie przychylni człowiekowi, przychylni pięknu i życiu, a umiejący stać na straży postępu, praw i godności człowieka“.

Ha!

Przypomina mi się jakaś nabożna powieść dla młodzieży, wydana przed wojną przez towarzystwo Dobrej Książki, powieść wypisz-wymaluj taka, jaką redaktor naszych londyńskich „Wiadomości“ zaleca jako jedynie właściwą pisarstwu katolickiemu, zamiast tych gorszących Gertrud von le Fort, Greene'ów, Waugh'ów, Mauriac'ów, Marshall'ów, et tutti quanti. Jest w niej taka scena, kiedy autor, duchowny, opisuje, jak to pewna wzorowa panienka rzuciła się na ratunek pięcioletniego chłopczyka, który tonął w stawie i już tracił przytomność. W ubraniu skoczyła do wody i bohatersko wyciągnęła malca na brzeg. A widząc, że był nagi, krzyknęła boleśnie ze wstydu i zastosowała sztuczne oddychanie z zasłoniętymi oczyma!

Otóż ton tej niesamowitej, „nabożnej“, dalekiej od wszelkiej prawdy życia ckliwości jest powszechny u wszystkich gorliwców marxistowskich. Ten sam Żółkiewski, który potrafi pisać z sensem, jak również wielu pisarzy znacznie intelektualnie wyższej od niego klasy, skoro tylko dotkną swoich zagadnień religijnych: swego boga — Marxa, swej ziemi świętej — Związku Radzieckiego, swoich papieży Lenina i Stalina, wieje od nich na milę najtańszym, dławiącym, naiwnym, idealistycznym kadzidłem według „najlepszych“ wzorów najniższej literatury i pisanek „nabożnych“. Proszę przeczytać w „Nowej Kulturze“ tego samego Żółkiewskiego artykuł na sprawozdanie ze zjazdu polonistów, jakie ukazało się w „T. Powszechnym“. — Czyż to nie jest, pomijając ordynarny ton, żywcem przepisany artykuł z jakiegoś „Dzwonka św. Olafa“ czy „Trąby niedzielnej“ „walczący“ przed wojną przeciw „Żydo-komunie“?

JOT

MIĘDZYNARODOWY ZJAZD HISTORYKÓW W PARYŻU

W DNIACH od 25 sierpnia do 3 września b.r. odbędzie się w Paryżu Międzynarodowy Kongres Historyków. Ostatnie tego rodzaju spotkanie miało miejsce przed 15 laty. Do tej pory komitet organizacyjny otrzymał zgłoszenia od 1.400 uczestników.

W kongresie wezmą udział także historycy polscy z W. Brytanii, którzy wygłoszą następujące referaty:

Prof. **W. Folkierski**: Dante et l'Islam. Gen. **M. Kukiel**: Ligue des Nations, Union Européene et la 3-e Coalition. Doc. **L. Koczy**: Les origines de la première Croisade. Mjr. mgr. **O. Laskowski**: Infantry tactics & firepower in XVI Century. Prof. **H. Paszkiewicz**: Ruś (Russia) from the IX to the XIV Century. Some Considerations on Models and Methods of Research. Prof. **T. Sulimirski**: Problem of the survival of Tripolic Culture, Dr. **W. Weintraub**: Russia and Poland in the Political Thinking of Karl Marx.

Ponadto na kongresie będzie obecny przebywający w USA prof. **O. Halecki**, który wygłosi referat: The leading Idea of Slavic World in the Renaissance Period. Polonię we Francji zaś będą reprezentować: prof. **Z. L. Zaleski**: Les opinions de Balzac. Dr. **Cz. Chowaniec**: La Mer Noire dans l'Histoire de la Pologne moderne.

Podając Czytelnikom te wiadomości, które zawdzięczamy informacjom sekretarza Polskiego Towarzystwa Historycznego dra. **E. Oppmana**, wyrażamy radość, że nasi uczeni tak licznie wezmą udział w tym Kongresie.

Jak wiadomo, ostatni tego rodzaju kongres, poświęcony w dużej mierze zagadnieniom kultury, w tym także sprawom Bizancjum, odbył się w r. 1935 w Warszawie. Był wielkim triumfem także uczonych polskich, zwłaszcza profesorów B. Dembińskiego, (który otwierał Zjazd przmówieniem wygłoszonym w pięciu językach), O. Haleckiego i ś.p. M. Handelsmana. Warto może tu dodać, że w sekcji bizantyńskiej ogromne wrażenie u obcych uczonych wywołało w czasie dyskusji zaimprowizowane wystąpienie X. Bronisława Kreuzy na temat sakralności w kulturze bizantyńskiej.

W związku z obecnym Kongresem Polskie Towarzystwo Historyczne w W. Brytanii wydaje specjalny numer swego organu „Teki Historyczne“, w których znajdą się wszystkie referaty, zgłoszone na Zjazd przez naszych uczonych.

Zwracamy specjalną uwagę naszych Czytelników na ten numer „Teki“, który ukaże się na rynku księgarskim tuż przed Zjazdem.

(jt)

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

„ŻELAZNA KURTYNA“ USZCZELNIA SIĘ

Na tegorocznym festiwalu edynburskim wystąpić miał m. in. Czech, prof. Józef Skupa ze swym słynnym teatrem marionetek. Bohaterami tego teatru są Hurvinek i Spejbel, ojciec i syn, niezmiernie od szeregu lat popularni w Czechosłowacji. Skupa dawał przedstawienia swego teatru także w Paryżu, Amsterdamie i Stokholmie, a w r. 1947 po raz pierwszy zawitał do Wielkiej Brytanii. Wszędzie miał ogromne powodzenie.

W tych dniach jednak p. Jan Hunter, dyrektor artystyczny festiwalu edynburskiego, otrzymał zawiadomienie od ambasady czechosłowackiej w Londynie, że „z przyczyn technicznych“ prof. Skupa nie będzie mógł przybyć na festiwal do Edynburga we wrześniu roku bieżącego.

Odmowa ta sprawiła nielada kłopot dyrektorom edynburskim. Na przedstawienia teatru marionetek wydrukowano już bilety i puszczono je w ruch; w ciągu paru tygodni rozsprzedano ich 65 procent.

HARDY I CONRAD

Pojawiła się książka krytyka literackiego Alberta J. Guerarda o Tomaszu Hardym jako powieściopisarzu i noweliście („Thomas Hardy. The Novels and Stories“, Harvard University Press, London: Cumberlege, cena 15 sh.)

W swej charakterystyce twórczości Hardy'ego Guerard wielokrotnie zestawia go z Conradem—Korzeniowskim i André Gide'm.

Hardy — zdaniem Guerarda — był powieściopisarzem starego typu, był jednak zarazem artystą, który buntował się przeciw prostackiemu realizmowi — i w tym właśnie poprzedził Conrada i Gide'a. W twórczości Hardy'ego spotykamy się z pierwiastkiem demonicznym, jak u Gide'a. Niesamowita postać Jamesa Waita z Conradowskiego „Murzyna z załogi Narcyza“ stanowi także protest przeciw realizmowi jałowemu i pozbawionemu wyobraźni.

„Jakiekolwiek były intencje Hardy'ego — pisze — Guerard — jego powieść „The Mayor of Casterbridge“ stanowi obok Conradowskiego „Lorda Jima“ i powieści Gide'a „L'Immoraliste“ jedno z wielkich dramatycznych studiów nad impulsami samoniszczycielskimi u człowieka. Nawet w zakresie osobistym i moralnym znajdujemy dużo wpólnego między łagodnym, nieśmiałym Hardym, udręczonym Conradem i „satanicznym“ Gide'm. W pewnym znaczeniu wszyscy trzej byli ludźmi samotnymi, samotnymi jeszcze bardziej przez swój sceptycyzm, — i wszyscy trzej, wychodząc poza swą osobistą izolację, pracowali nad zrozumieniem izolacji duchowej będącej stanem człowieka nowoczesnego. nad zrozumieniem jego przeznaczenia moralnego i jego dylematu. ...Wszyscy trzej widzieli zagadnienia, stworzone przez upadek dotychczasowych norm i przez raptowne przemiany społeczne“.

Guerard zamierza w przyszłości napisać osobną książkę o Conradzie, później zaś o Gidzie.

ROZLUŹNIENIE DYSCYPLINY W SZKOŁACH

Prasa notuje z zainteresowaniem uwagi C.W. Towlsona „headmastera“ jednej z „public schools“ w Yorkshire, wypowiedziane na dorocznej konferencji metodystów w Bradfordzie. Uskarżał się on na ogólne rozluźnienie dyscypliny wśród młodzieży, przypisując to w znacznej mierze nowoczesnym metodom wychowawczym, które w miejsce dyscypliny wysuwają jako postulat wychowawczy „self -expression“. tj. dawanie wyrazu swej osobowości.

„Wielu wychowawców — mówił Towlson — jak się zdaje, wyklęło wszelką dyscyplinę, czy to nałożoną z zewnątrz, czy też płynącą z wewnątrz. Domagają się oni „self-expression“, nie bacząc wcale na to, co dziecko ma w ten sposób wyrażać. Przyjmuje się, jako założenie, że dziecko jest z natury istotą czystą, szlachetną i inteligentną i że zbrodnią jest nakładać więzy na tę istotę. Ci spośród nas, którzy widzieli dzieci torturujące muchy i żaby, stwierdzić musieli, że nie wszystkie dziecięce instynkty są dodatnie“.

Wystąpienie Towlsona stanowi część toczącej się od pewnego czasu w Wielkiej Brytanii dyskusji na temat zdziczenia części młodzieży i rosnącej huliganerii. Wiele uwag na ten temat wypowiedzianych zostało w związku z rozważaniami na temat ewentualnego przywrócenia kary chłosty, parę lat temu zniesionej poza lekkimi karami cielesnymi, stosowanymi w szkołach.

WYSTĘPY BALETU NOWOJORSKIEGO

W Covent Garden w Londynie występuje obecnie „New York City Ballet“. Każde przedstawienie składa się z kilku utworów. Wystawiany jest m. in. nowoczesny balet amerykański „Jinx“ z muzyką angielskiego kompozytora Benjamina Brittena. Szczególne uznanie zdobyła „Bourrée Fantasque“ Balanchine'a z muzyką Chabriera; jest to świetna parodia dziewiętnastowiecznej maniery baletowej.

KOMUNIKAT

W dniu 28 czerwca br. przed sądem w Londynie zakończyła się sprawa p. Stanisława Mackiewicza ,oskarżonego przez p. T. Zawadzkiego o zniesławienie. Werdyktem ławy przysięgłych p. Stanisław Mackiewicz wraz z wydawcą tygodnika „Lwów i Wilno“ zostali zasądzeni na zapłacenie p. Tadeuszowi Zawadzkiemu £ 4.000 tytułem odszkodowania za zniesławienie, a drukarnia Veritas Foundation Press — na zapłacenie £ 100.

Sąd stanął na stanowisku, że p. St. Mackiewicz (Cat) zniesławił p. T. Zawadzkiego w artykule pt. „Tablica porównawcza“ w tygodniku „Lwów i Wilno“ z dn. 29 stycznia br. oraz w artykule pt. „Brudna robota“, zamieszczonym w dn. 16 lutego br. w „Dzienniku Polskim“, ukazującym się w Stanach Zjednoczonych (Detroit).

P. Zawadzki domagał się od p. Mackiewicza przeproszenia i odwołania zniesławienia. P. Mackiewicz nie chciał jednak tego uczynić, wobec czego sprawa znalazła swój epilog przed sądem.

P. Zawadzki z przysądzonej mu kwoty £ 4.000 osobiście korzystać nie będzie, lecz przeznaczy je na cele o charakterze publicznym. P. Zawadzki zrzekł się odszkodowania od drukarni, gdyż stanowi ona polską własność społeczną.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 68 79. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. Prenumerata płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed“, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. Bożysław KUROWSKI. Anggatan 6 c, Lund, Sverige, Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: kwartalnie 12 peso półrocznie 24 peso. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2.

Praed Mews, London W. 2. Tel. PAD. 9734. Printed by: „Veritas Foundation Press“ 12.